J. S. LEYSIN

DIALEKTYKA CZY ORTODOKSJA?

Czytamy częstokroć artykuły, a nawet książki których tenor dałby się streścić w sposób mniejwięcej taki: „Zdobycze współczesnej nauki potwierdzają w tym lub owym punkcie (fotony i elektrony, fale i korpuskuły, przestrzeń i czas, dziedziczność i ewolucja, genotyp i fenotyp...) tę lub ową tezę (rozwój wśród sprzeczności, przejście ilości w jakość...), wyrażoną już przed tylu i tylu laty przez Marxa i Engelsa. W gruzy oto rozpadają się systemy Berkeley'ów i Hume'ów, Kantów, Machów i (si licet...) Jeansów i Eddingtonów, a tylko jeden system, datujący się od Demokryta i Leukypa, do **ostatniej** zaś doskonałości doprowadzony przez twórców materjalizmu dialektycznego — trwa jako „niewzruszony biegun w pogoni zjawisk" i ostanie się do „ewentualnego końca istnienia ludzkości", jak pisze w nr. 60 „Sygnałów" Zygmunt Jarosz.

Śmiem twierdzić, że takie postawienie sprawy jest obrazą pamięci autorów „Niemieckiej ideologji", grzechem przeciwko ich duchowi. Żadna teza, żadna prawda nie może przetrwać do „ewentualnego końca istnienia ludzkości". Do tej chwili przetrwa tylko duch śmiałego badania, nie znająca spoczynku ludzka działalność poznawcza i ta jej przedewszystkiem właściwość, którą Marx, wzorem Kanta, oznaczał jako „krytykę": dążność do uświadamiania sobie własnych założeń, ich istotnej natury, „granic" poznania stąd wynikających — i przez odrzucenie uświadomionych przesłanek, wyzwalanie się z nawykłych założeń do nieustannego wykraczania poza granice — do granic nowych... Taki był, jest i będzie stosunek naszego „audax Iapheti genus" do otaczającej je przyrody.

Jedyną **trwałą** zdobyczą tego, co naprawdę zasługuje na miano dialektycznego materjalizmu, ściślej zaś: „materjalistycznej krytyki procesu poznania i dialektycznej metody poznawczej" jest poznanie natury owych przesłanek, założeń i wynikających z nich granic poznania. Kant szukał ich w jakiejś osobnej, niewytłumaczalnej „rozsądnej" (intelligibel) istocie człowieka, Feuerbach zaś poczynił pierwszy krok w kierunku krytytki **materjalistycznej**, pisząc:

„Co my, **będąc sami cząstką przyrody**, wypowiadamy o niej, to, w gruncie rzeczy, wypowiada o sobie sama przyroda i jest, jako wypowiedź przyrody, prawdziwe, objektywne, aczkolwiek **ludzko prawdziwe, ludzko objektywne**, boć to przez **ludzką** naturę i jako **ludzka** natura (**ludzkie** spostrzeganie, **ludzkie** poznanie, p r z y p i s e k m ó j, J. S. L.) przyroda tu się wypowiada".

A zatem: przesłanki i granice poznania wynikają z naszej ludzkiej natury, ale nie naszej natury „rozsądnej", lecz poprostu natury naszej, jako trawiącej, poruszającej się, rozmnażającej się, spostrzegającej i poznającej, krótko: ożywionej cząstki skorupy ziemskiej.

Dalszy krok w kierunku owocnej materjalistycznej krytyki poznania postawił już młody Marx w swych „Tezach do Feuerbacha". Poznanie nie jest biernym stosunkiem do świata otaczającego. Jest ono wycinkiem „ludzkiej praktyki" (der menschlichen Praxis), tego aktywnego stosunku człowieka do przyrody, określanego zazwyczaj jako „walka człowieka z przyrodą", którą Marx nazywał „procesem produkcyjnym", Brzozowski zaś prosto i pięknie — „pracą". Z tym procesem, z początku jako jego narzędzie, później jako coraz bardziej się wyodrębniająca, lecz nigdy nie gubiąca z nim związku, gałąź: **produkcja** naukowa, **praca** badawcza — związane są początek i losy poznania ludzkiego. Ponieważ zaś proces produkcyjny, praca ludzka z natury samej jest zjawiskiem **społecznem**, tylko w ramach związku społecznego możliwem, przeto i przesłanki i granice poznania ludzkiego są społeczne zawsze, klasowe zaś w pewnem stadjum rozwoju społeczeństwa. Granice te **odsłonił** i tem samem **usunął** dla nauk społecznych Karol Marx w „Kapitale". Wykazał, że poznanie procesów społecznych jest zaciemnione przez społeczną klasową naturę badacza. Uświadomienie tego faktu — niczem psychoanalityczna „katarsis" — jest zarazem obaleniem granic, barjer. Nauki społeczne wyzwolone podejmują skok do nowych horyzontów.[1])

Chodzi o właściwe zrozumienie terminu „poznanie". Kantowska „niepoznawalność rzeczy samej w sobie" stanie się wtedy zdaniem, pozbawionem wszelkiego znaczenia. Jeżeli „poznanie" ma być jakiemś „wniknięciem w samą istotę", jakąś niewyobrażalną identyfikacją przedmiotu zewnętrznego z naszem wrażeniem, wyobrażeniem, pojęciem, to taka identyfikacja, **takie** poznanie jest istotnie niemożliwe, niewyobrażalne. Jeżeli jednak poznanie określimy jako specyficzny stosunek **wzajemnego** działania pomiędzy cząstką przyrody (podmiotem poznającym) a większym lub mniejszym jej wycinkiem (przedmiotem poznawanym), działaniem, które dostarcza podmiotowi poznającemu „narzędzi operatywnych" do dalszych działań (poznawczych lub produkcyjnych) — ad infinitum — to „niepoznawalna rzecz sama w sobie" zapadnie się w nicość jako fantasmagorja „czystego" rozsądku.

Ta krytyka granic poznania i oparta na niej metoda jest istotnem sednem dialektycznego materjalizmu. W dziedzinie nauk społecznych metoda ta złożyła już dowody swej owocności. W dziedzinie nauk o przyrodzie martwej i ożywionej, niestety, zbyt często kompromitują ją pisarze, którzy za wszelką cenę chcą wykazać, że rezultaty Joliotów i Haldane'ów z r. 1938 są zawarte „in nuce" — w „Dialektyce natury" z r. 1882. Zamiast twórczego postępu — wzrok skierowany wstecz, zamiast heurystyki — egzegeza, zamiast obserwacji i eksperymentu — krytyka tekstów. Czy poto **dialektyka** uwolniła myśl ludzką z okowów dogmatyzmu, by ci nowocześni scholaści zakuli ją nanowo w kajdany — (pożal się Boże) **dialektyki?**

Niech mi wolno będzie na kilku przykładach pokazać, jak dialektyczno-materjalistyczna krytyka może, napozór tylko negatywnie, w istocie jednak nader płodnie pracować **dla** poznania naukowego, nie zaś doktrynersko i pasorzytniczo **na** martwych osiągnięciach tego poznania.

Stwórca. Pierwsi ludzie, którzy **stworzyli** chatę, misę czy dzidę musieli uroić sobie, że również góra, potok i drzewo są przez kogoś stworzone. Odtąd na długie wieki (a np. Jeans po dziś dzień) straciliśmy możność i umiejętność myślenia o istnieniu, stawaniu się, dzianiu się bez (pozbawionej wszelkiej podstawy empirycznej) myśli o tym, który to czyni. I uszedł nawet oku pokoleń ten dziwny paradoks, że istota, która wszystko stworzyła i urządziła, niggdy, przynajmniej nigdy **na naszych oczach**, nie wykazała umiejętności zmienienia najdrobniejszego szczegółu w raz dokonanem urządzeniu, podczas gdy — umiejętność tę w znacznej mierze posiada i stosuje ustawicznie człowiek — sam tej istocie zawdzięczający swoje istnienie.

Aby obalić tę przesłankę, która przez wieki całe narzucała się poznaniu naukowemu i filozoficznemu, nie wystarczyło dojść do przeświadczenia, że niepodobna **udowodnić**, opierając się na zasobie doświadczeń i na prawach logiki, istnienia Stwórcy. Bo przecie prawa logiki arystotelesowskiej mają swe miejsce w naszym umyśle nie **ponad** przeświadczeniem o jego istnieniu, ale **obok** przeświadczenia. Prawa logiki również narzucały się nam przez wieki z równą oczywistością, ich źródło nie jest bardziej tajemnicze, ani łatwiejsze do odkrycia, ich zaś moc przekonywająca nie o wiele dłużej ostała się wobec krytyki poznania. Tylko ta krytyka poznania, wykazując tkwiące w naturze człowieka produkującego źródła wiary w istnienie Stwórcy, potrafiła obalić ten antropomorfizm, a tem samem także obalić słupy graniczne, które w dalszych konsekwencjach przeświadczenie to postawiło dla postępów poznania naukowego.[2])

Rozbrat pomiędzy **duchem a materją** i wypływające stąd systemy dualistyczne i idealistyczne (aż po eddingtonowskie: świat jest równaniem różniczkowem w umyśle Wielkiego Matematyka) — jest wypływem klasowego rozdziału pracy umysłowej, kierowniczej i fizycznej, wykonawczej. Tu, w tem zdemaskowaniu wszelkiego idealizmu i dualizmu tkwi **materjalizm** dialektycznego materjalizmu, nie zaś w przyjęciu istnienia jakiejś „materji posiadającej własność być objektywną rzeczywistością", co jest tylko wyblakłem odbiciem sławetnej teorji „substancji i jej własności", teorji, którą krytyka materjalistyczna demaskuje jako wypływ języka ludzkiego i jego struktury (rzeczownik i przymiotnik). Snując takie spekulacje, ba, usiłując niemi zwalczać Macha, Avenariusa, Russela, materjalizm dialektyczny niepotrzebnie tylko wystawia się na ciosy pisarzy, łączących nowoczesną naukowość z nowoczesnym — antymarxizmem.

Analiza, rozkładająca poznawalną rzeczywistość na **przedmioty i ich cechy** (albo, nowocześniej, na **zbiory przedmiotów**, co na jedno wychodzi) jest podstawą dotychczasowego światopoglądu, określanego przez twórców materjalizmu dialektycznego jako „metafizyczny". W przeciwieństwie do koncepcyj Stwórcy, celowości, substancji psychicznej mamy tu do czynienia z koncepcją o niezmiernej płodności. W połączeniu z (ściśle z nim związanym) arystotelesowskim systemem dedukcyjnym, ujęcie świata zewnętrznego jako systemu odrębnych rzeczy o określonem położeniu jest właściwą podstawą współczesnej nauki. Przedewszystkiem jednak w dziedzinie nauk społecznych koncepcja ta okazała granice swej płodności. W „Kapitale" Marx analizuje gospodarstwo społeczne nie jako sumę gospodarstw indywidualnych, pozostających między sobą w pewnej równowadze wymiany, jak to czynili Quesnay, Smith, Ricardo, lecz jako nieprzerwany **proces**, w którym bolesne stany utraty równowagi nie są bardziej nienormalne, aniżeli stany przybliżonej równowagi i który, pod wpływem rozwoju sił produkcyjnych, zmienia ustawicznie swoją postać, przechodząc z jednego „ustroju gospodarczego" w drugi. Podobnej koncepcji „procesualnej" poszukiwał Engels także dla nauk przyrodniczych i widział jej zaczątki w kant-laplace'owskiej teorji kosmogonicznej i w darwinowskiej teorji ewolucji. Wykład dialektyczny tej drugiej w „Dialektyce natury" pozostał niestety fragmentem. Nauka współczesna prowadzi nas dalej po tej drodze. Falowa teorja materji rozprasza ostatnie iluzje „przedmiotu". Co do logiki klasycznej, opartej na koncepcji przedmiotu i jego cech oraz na ściśle z koncepcją cechy związanej arystotelesowskiej „zasadzie sprzeczności", to nowoczesna logika formalna wykazuje granice jej zastosowalności, na licznych antynomjach wykazuje jej wewnętrzne sprzeczności, dowodzi, że nie jest ona bynajmniej tak cudownie doskonałem narzędziem, za jakie była przez liczne pokolenia uważana.[3]) Jeżeli w ten sposób wywody Hegla, Marxa, Engelsa przeciw tej zasadzie znajdują dziś naukowo ścisłe uzasadnienie, to nie należy jednak lekceważyć wartości poznawczej tej zasady, która bynajmniej nie jest jeszcze wyczerpana. Należy też baczyć, by, przechodząc do porządku nad tą zasadą, nie utracić docna wszelkiej dyscypliny myślowej. Wkońcu, w nowoczesnej teorji poznania twórca „Koła Wiedeńskiego" Schlick wysunął na czoło koncepcję „procesu".[4])

Nie ulega dziś wątpliwości, że rozkład świata otaczającego na przedmioty jest wynikiem specyficznego działania „podmiotu poznającego", człowieka. Sporna jest tylko kwestja, jaką drogą dochodzimy do tworzenia przedmiotów. Podczas gdy starzy „asocjacjoniści" twierdzili, że „przedmioty" powstają przez łączenie poszczególnych wrażeń zmysłowych w większe, mniejwięcej stałe kompleksy (tego zdania był jeszcze Mach), to nowoczesna psychologja idzie drogą odwrotną: „przedmioty" tworzą się w naszym umyśle przez wyodrębnienie z kompleksów obszerniejszych. Temi kompleksami są połączenia pewnych częściej się powtarzających, charakterystycznych wrażeń zmysłowych z koncepcją pewnego zachowania (np. coś brązowego, twardego, okrągłego, zgryźć, odrzucić twarde, zjeść pozostałe). Z tych „wyobrażeń praktycznych" z czasem dopiero wyłania się „przedmiot" „sam w sobie", „oczyszczony" z praktycznego znaczenia.[5])

Tak czy owak, koncepcja świata, składającego się z „przedmiotów" i związana z nią logika dedukcyjna są jedynie pewnem stadjum procesu poznania, stadjum uwarunkowanem właściwościami tej cząstki przyrody, która poznaje, właściwościami natury ludzkiej. O ile mi wiadomo, nie wyjaśniono jednak dotychczas, jak, **dlaczego** to ujęcie wypływa z natury „podmiotu poznającego". Oto pole badań dla tych, którzy pragną naukowo uzasadnić i podbudować dialektykę materjalistyczną.

Wkońcu: **sprawa przyczynowości.** Dotykając tego problemu, wkraczamy w „terra nova" współczesnej nauki. Jest to problem dnia, temat nierozstrzygniętego dotychczas „meczu" Einstein—Bohr. Daleki jestem od twierdzenia, że, jak go żartobliwie nazywa Jarosz, „poczciwy" Engels już w r. 1882 miał w ręku rozwiązanie tego problemu. Twierdzę natomiast, że znane mu były **granice** problemu, granice, wynikające z elementu człowieczego, zawartego w procesie poznania. Pisze on (w fragmentach do „Dialektyki natury")[6]): „Spostrzegamy jednak nie tylko że po jednym ruchu (raczej: zdarzeniu, p r z y p i s e k m ó j, J. S. L.) następuje drugi, lecz również, że potrafimy określony ruch (raczej: zdarzenie, p r z y p. m ó j, J. S. L.) wywołać przez urzeczywistnienie warunków, pod jakiemi w przyrodzie następuje. **Dzięki temu**, dzięki **działalności ludzkiej** powstaje wyobrażenie **przyczynowości**, wyobrażenie, że jeden ruch (raczej: zdarzenie, p r z y p. m ó j, J. S. L.) jest **przyczyną** drugiego" (tak, jak naszą działalność wyobrażamy sobie jako przyczynę **zamierzonej** przez nas zmiany w świecie wewnętrznym. Podkreślenia w cytacie pochodzą od Engelsa). To co w świecie zewnętrznym rzeczywiście istnieje i da się odkryć, to jeden nieprzerwany proces stawania się, w którym poszczególne zdarzenie to jest przyczyną, to znów skutkiem (engelsowska „Wechselwirkung"), z którego zaś tylko nasza, na własnej działalności praktycznej oparta i jej, w ostatecznym wyniku, służąca funkcja poznawcza abstrahuje poszczególne, typowo się powtarzające pary zdarzeń, jako przyczyny i skutki. „Aby poszczególne zjawiska zrozumieć, musimy je wyrwać ze związku, rozpatrywać je w izolacji, i wtedy wydają się nam zmienne ruchy (raczej: zdarzenia, p r z y p. m ó j, J. S. L.) — jeden przyczyną, drugi skutkiem".

Zestawny z tem to, co na temat toczącego się sporu o determinizm i indeterminizm pisze znany filozof, Alfred Stern:[7])

„Nasza chęć poznania szuka za... „przyczynowością następczą" — przyczynowości dynamiczno-twórczej" (t. zn. nie zadowolimy się stwierdzeniem: po x następuje y, lecz sformułujemy: x **powoduje** y, x **wytwarza** y — antropomorfizm!). „Lecz (ta tendencja) jest tęsknotą nie do urzeczywistnienia. Gdyż... siła i jej działanie nie dadzą się objektywnie stwierdzić"... I w dalszym ciągu dowodzi, że tylko istnienie przyczynowości dynamiczno-twórczej, powiedzielibyśmy: przyczynowości **powodującej** — pozostaje w sprzeczności z tem, co fizycy nazywają dzisiaj „indeterminizmem". Jeśli natomiast, za Marxem i Engelsem, świat zewnętrzny zredukujemy do nieustannego procesu, z którego my dopiero wyłuskujemy pary: przyczyna — skutek, to proces ten (wzgl. jego składowe) nie będą przez to mniej **zdeterminowane**, że prawa niemi rządzące okażą się nie takiemi, za jakie je uważaliśmy doniedawna, „spiżowemi", lecz prawidłowościami statystycznemi. Ba, nawet nie będą przez to mniej — spiżowe!

Na tem zakończymy przegląd kilku problemów, z któremi zetknęła się dotychczas — niestety tylko pobieżnie — metoda dialektyczno-materjalistyczna. Czas przejść do konkluzji:

Materjalizm dialektyczny należy rozumieć jako metodę pracy badawczej, nie zaś jako zamknięty w sobie system wiadomości o świecie. Metodę tę stosować można jedynie w połączeniu ze starszą od niej metodą empiryczną. Materjalizm dialektyczny daje nam owocną krytykę doświadczenia ludzkiego. Ujmuje on nasze doświadczenie jako wzajemny stosunek człowieka (cząstki przyrody) do pewnego odcinka przyrody. Z istoty tego stosunku, z organizacji systemu neuro-motorycznego (mózgu, organów zmysłowych, organów ruchu), przedewszystkiem zaś z organizacji socjalnej człowieka — wysnuwa on wnioski o granicach naszego poznania, o osobliwościach tego stosunku, zwanego poznaniem, lecz odsłaniając te osobliwości, uświadamiając nam te granice — uwalnia nas zarazem od nich, otwiera drogę do poznania szerszego i głębszego, do nowych horyzontów — i nowych granic. Żadna **teza** materjalizmu dialektycznego, choćby nie wiedzieć jak ogólna, ogólnikowa, a przez to w treść uboga, nie ostanie się prawdopodobnie „do końca ludzkości". Natomiast ostaną się czyny naukowe materjalizmu dialektycznego: co krytyka materjalistyczna obali, to upadnie definitywnie.

Torowanie dróg poznaniu — to jest funkcja materjalistycznej dialektyki, funkcja, którą spełnia nie tylko słowem i pismem, ale i przedewszystkiem społecznym czynem. Lecz, tem samem, nie może też ona być — ortodoksyjna. Ortodoksyjna dialektyka, która przysięga na „verba magistri" — to sprzeczność sama w sobie.

---

[1]) Prototypem tego rodzaju badawczej krytyki jest w pierwszym tomie „Kapitału" sławny rozdział p. t. „Der Fetischcharakter der Ware" (towar jako fetysz).

[2]) W związku z tą antropomorficzną przesłanką o Stwórcy pozostaje przedewszystkiem wszelka teleologja, nauka o planie i celowości wszechświata, także w nieteologicznej postaci (analogja z celowością pracy ludzkiej). Obszerniejsze omówienie tej sprawy wymagałoby jednak conajmniej osobnego artykułu. Piękne wywody w tym przedmiocie znaleźć można u **Filipa Franka. Le principe de causalité et ses limites,** (Flammarion, Paris, Bibilothèque de Philosophie Scientifique).

[3]) por. **Łukasiewicz. Zasada sprzeczności u Arystotelesa**, Kraków, 1910, szczególnie str. 133 i nn.

[4]) por. **Moritz Schlick. Allgemeine Erkenntnislehre.**

[5]) por. **Louis Verlaine. Psychologie comparée ou la Physiologie du Comportement.** (Cahiers de la Centrale du P. E. S. de Belgique, VI).

[6]) **Marx—Engels. Gesamtausgabe.** Sonderausgabe. **Antidühring. Dialektik der Natur,** str. 615.

[7]) w „Zeitschrift für freie deutsche Forschung", zeszyt I (lipiec 1938), str. 37.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

W CHWILI DZIEJOWEJ

Sam fakt wielkiego politycznego trzęsienia ziemi nie przeraża. Było tak dokładnie i precyzyjnie przewidziane, że zaskoczyć nie mogło nikogo prócz tych, co w dobrowolnej ślepocie widzą szczęście, a mają w niej swe przeznaczenie i potępienie. W kwietniu roku minionego napisałem dosłownie: „Czechosłowacja jest na ręku. Pozostawiona samej sobie podzieli los tych ludów słowiańskich, które zostały wchłonięte przez Niemcy... Likwidacja Czechosłowacji pozostawionej samej sobie to rzecz jasna dla każdego, kto umie spojrzeć z perspektywy wieków i obszarów, które dzisiaj tworzyłyby światową Rzeszę słowiańską... („Krakowski Kurjer Wieczorny“, 17. IV. 1938).

W tym samym duchu pisałem w „Czarno na Białem“ (7. VIII. 1938) w artykule „Na odcinkach sporów“. Próbowałem zrektyfikować nieco tę falę „bratnich“ kłamstw pewnych odłamów naszej prasy, która w jakimś opętańczym szale straciła z oczu cały świat i w małej Czechosłowacji dostrzegła największe niebezpieczeństwo Polski i najważniejsze zagadnienie. Z jaką gorliwością zwalczano Pragę za jej rzekomy komunizm, jak gorliwie budowano autonomję Słowacji! Bo Hlinka, bo katolicy, bo wolność.... Przyszła nietylko autonomja Słowacji, ale nawet „niepodległość“ tak głośno sugerowana, aż została usłyszana przez jej realizatorów. Powinna zapanować szalona radość, że się tak cudownie udało.

Ale zapanowała konsternacja. Głupota to nie zbrodnia, oczywiście, to wielkie nieszczęście. Istnieją całe książki wymierzone w Czechosłowację, a ich najwyższą dziś zaletą jest to, że wydrukowane na lichutkim papierze, rozpadną się rychło w pył i proch i przestaną być dowodem głupoty ich autorów i krótkowzroczności tej publicystyki, która nie mogła doczekać się rozbiorów Czechosłowacji. Czechosłowacja znikła i jej losy są tak samo niewiadome, jak niewiadome są losy największych potęg świata. Tempo historji jest przyśpieszone ogromnie niby puls w bardzo chorym organizmie. To Europa, bądźcobądź, matka nasza, jest ciężko chora. Wyzdrowieje? Umrze? Nie wiemy w tej chwili.

Przyszłoby nam łatwiej wierzyć w jej rychłe wyzdrowienie, gdybyśmy jednak nie musieli wierzyć w panowanie straszliwej, bezgranicznej głupoty ludzkiej. Zawsze, gdy płonie dom sąsiada, choćby to był dom wroga, śpieszy na pomoc każdy, kto zna niszczycielski żywioł ognia. Jeśli nie chodzi o ratowanie mienia znienawidzonego sąsiada, to chodzi o ujarzmienie niszczycielskiego żywiołu. Ostatnio widzieliśmy tłum Huronów i słyszeliśmy ich dzikie wycie z uciechy, że pali się czyjś dom, że wali się jego strzecha. Nie widziano, że miljony ludzi płaczą, że ogarnia ich rozpacz, że czują się opuszczeni przez tych, z którymi się sprzymierzyli i za których gotowi byli bić się razem z nimi. Nie widziano, nie chciano widzieć, że Czesi zostali rozbrojeni przez bardzo tępych i głupich przyjaciół, i nie umiano przewidzieć co się stanie z tymi rozbrojonymi Czechami spędzonymi z naturalnych granic i linij obronnych przez „życzliwość“ Runcimana, przez „poczciwość“ Chamberlaina.

Tak przedstawia się rzecz od strony dobrowolnej ślepoty. Z drugiej strony mamy dobrowolny iluzjonizm. Z jakąż radością podchwytano słowa prezydenta Stanów Zjednoczonych albo toasty królewsko-prezydenckie podczas pobytu królewskiej pary angielskiej w Paryżu! I te, i wiele, wiele innych słów, nie miały żadnego realnego pokrycia. Były one zgoła konwencjonalnym przyczynkiem do tego, co się konsekwentnie działo od roku 1918 po odniesionem zwycięstwie, które kosztowało tak straszliwie drogo, ale którego nikt nie chciał przyjąć za swoje i podtrzymać. Nie tyran stwarza niewolników, ale niewolnicy stwarzają tyrana — powiedział Miguel Unamuno. Zwolennicy łatwo strawnego życia chcieli nie pokoju, ale spokoju dla tej „gładzizny brzucha“, o której pisał Stanisław Brzozowski. Niema bardziej ponurego widoku w dziejach świata nad ten straszny wieloletni odwrót zwycięzców, który wreszcie przemienia się w bezładną ucieczkę od rzeczywistości i zamiera w milczeniu. Zamiast grubych płyt pancernych, parasol starego pana osłania pokój. To jest takie zawstydzające! Żadna, najbardziej aktywna propaganda hitleryzmu nie zdołałaby osiągnąć takich wyników, jakie daje dobrowolna małość Tartarinów z Tarasconu i Pickwików. Jedni mówią, że Adolf Hitler jest wielki, inni twierdzą, że to jego przeciwnicy są dotknięci nieuleczalnym kompleksem mikromanji. Trudno oczekiwać, że ludzie, którzy w ciągu dwudziestu lat z tchórzostwa czynili program, zmienią się z dnia na dzień w bohaterów. Karabin maszynowy jest tylko dodatkiem do zdecydowanej walki o życie i wolność. A takiej woli niema ani w Anglji, ani we Francji. Z iluzjonizmem trzeba skończyć, bo jest szkodliwy. Jesteśmy sami za siebie odpowiedzialni i tylko na siebie liczyć możemy. Na wolę życia i wolności.

W programie iluzjonizmu polskiego był swoisty stosunek do Hitlera i do tego, co on reprezentuje. Pierwsze wieści o nim i jego dziele docierały do nas w postaci broszur i książek niemieckich i nie tylko niemieckich, które go wyśmiewały i wykpiwały. To lekceważenie partnera gry politycznej zemściło się na partjach demokratycznych w Niemczech. Takie lekceważenie Hitlera musiałoby się zemścić także na wszystkich, którzy chcieliby się upierać przy nierealnych już wydawnictwach niemieckich, w których Hitler był wydrwiwany. Broszury takie zwiodły wprawdzie nawet hrabiego Sforzę, inteligentnego dyplomatę włoskiego i dobrego pisarza, i Malepartę, któremu nie można odmówić trafności sądów o wielu sprawach poważnych. Demokracja całego świata chwytała skwapliwie każde słowo przeciwników Hitlera, a ten stosunek prokuratorsko-adwokacki nie ułatwiał zorjentowania się w rzeczywistości, ale je wybitnie utrudniał. Rozsądny człowiek nie będzie już ssał soków miłej złudy ze słów, które, jak się okazało, mają wartość wyłącznie fonetyczną. Drganie fal powietrza. Jakakolwiek dynamika tych słów mija z chwilą, gdy przestaje drgać powietrze. Osobliwa mądrość stanu uważała, że na świecie będzie lepiej, gdy Morawska Ostrawa, Brno i Pilzno, te olbrzymie arsenały przestaną stać po stronie demokracyj zachodnich, i staną przeciwko nim. Z taką filozofją liczyć się nie można.

Obok energji i sprytu istnieje olbrzymi masyw głupoty. Można się nad nią smucić, ale trzeba ją przyjąć do wiadomości. Ona jest także potężnym czynnikiem w kształtowaniu dzisiejszych stosunków politycznych, społecznych, gospodarczych. Od roku 1918 nie mijała poprostu ani jedna godzina, w której kropla głupoty nie byłaby upadła na kamień zwycięstwa. To ona zlikwidowała zwycięstwo koalicji. Strona przeciwna, bardzo długo pozbawiona potencjału siły, miała tylko wolę odegrania się i ta wola starczyła za wiele. Ileż to napisano o niezręczności dyplomacji niemieckiej! Ta dyplomacja potrafiła nie przeszkadzać głupocie i potrafiła bardzo zręcznie zachęcać ją do ciągłego harakiryzowania się. Ludzie energiczni wiedzieli bardzo dobrze, że niema takiej rzeczy, której nie możnaby otrzymać od ludzi cierpiących na fatalny zanik woli.

Gdy się dziś bierze do ręki różne broszury niemieckie i książki, które wydrwiwały Hitlera i régime'owi nazistowskiemu przepowiadały rychły koniec, doznaje się uczucia wstydu, że się to brało poważnie. Czy hitleryzm pójdzie drogą zdobyczy imperjalistycznych i czy będzie zdobywał świat, tego w tej chwili sam on zapewne powiedzieć nie potrafi, ale każdy rozsądny człowiek musiałby się dziwić, gdyby Hitler nie brał dla swego narodu i Rzeszy tego wszystkiego, co mu niepojęta małoduszność sama wtyka w ręce. W stosunkach między poszczególnymi ludźmi każda postać niedowładu umysłu i woli idzie pod kuratelą a od ludzi niezupełnie świadomych swego postępowania nie przyjmuje się żadnych prezentów, ale w stosunkach międzynarodowych wszelkie sejmy nieme i mowy z pogóżkami wychodzą na jedno. Po mowie Chamberlaina nie przyszło nic oczekiwanego i nie przyjdzie. Anglja panuje nad czwartą częścią globu. Jest to siła o jakiej pojęcia nie mamy, ale ta siła pozbawiona jest woli i dlatego wszystko, co posiada jaką taką wolę istnienia musi się od tego masywu bezwładu odwrócić. Uczucia, jakie się żywiło dla tego ideału, były ulokowane fatalnie. Lepiej wiedzieć o swej samotności, niż sprzymierzać się z taką postacią woli niemocy.

Takie stwierdzenia są może bolesne, ale konieczne. Widzieliśmy Huronów tańczących dokoła płonącego domu sąsiada i walczących o autonomję Słowacji. Dom spłonął, Huroni się nie cieszą. Słowacja jest niepodległa, Huroni się zatrwożyli. Zmądrzeli po szkodzie? Nie! Gdy się umrze, to na długo — powiada przysłowie francuskie — a gdy się jest głupim to na zawsze.

JÓZEF WITTLIN

Fragment z dramatu „Barabasz“

Scena przed pałacem prokuratora Judei

Piłat

Muszę powiedzieć, że ten młody fanatyk bardzo mi się podoba. Nie widzę nic takiego, coby przemawiało przeciw niemu.

Faryzeusz

Mam dowody jego działalności wywrotowej. Antypaństwowej. Mianował się królem żydowskim! My już królów nie mamy. Ostatnim naszym królem był Antigonus. — A obecnie naszym władcą jest Cesarz.

Piłat

Skąd nagle taka lojalność? To jest podejrzane. A zresztą on utrzymuje że królestwo jego nie jest z tego świata.

Faryzeusz

Co to znaczy: nie z tego świata? Więc z jakiego? Z tamtego? Czemu w takim razie nie przebywa na tamtym świecie? Król ma siedzieć tam, gdzie jest jego królestwo. Powinniśmy mu ułatwić jak najrychlejsze wstąpienie na tron. Król żydowski! Ponadto śmiał siebie nazwać synem Bożym. To jest bluźnierstwo.

Piłat

Trudno ode mnie wymagać żebym się orjentował w stosunkach rodzinnych waszego Boga.

Faryzeusz

Mówmy logicznie i spokojnie. Co znaczy, syn Boży? Bóg — według naszego Zakonu — nie jest żonaty, więc nie może mieć syna. Wogóle nasz Bóg nie jest osobą, nie jest człowiekiem, chociaż stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo.

Piłat

To dla mnie nie jest jasne. Osobiście nie jestem wierzący, ale w naszej religji bogowie nie zachowują celibatu. Owszem — żenią się, mają nawet kochanki i mnóstwo dzieci z prawego i nieprawego łoża. Weźmy naprzykład takiego Jowisza, tak zwanego ojca bogów i ludzi. Iluż to synów napłodził, prawych i nieprawych!

Faryzeusz

W znaczeniu symbolicznem wszyscy jesteśmy synami Boga i uważamy Boga za ojca rodu ludzkiego. Ale tylko w znaczeniu symbolicznem.

Piłat

Wyznaję, że obca mi jest i niepojęta wasza symbolika. A może to prorok? Mieliście przecież niezliczoną ilość proroków, wieszczbiarzy, nauczycieli! A może to poprostu literat, reformator przestarzałych pojęć moralnych?... Bardzo zajmujące są wasze pisma. Szkoda, że nie tłumaczone na łacinę.

Faryzeusz

Z pewnością będą jeszcze kiedyś tłumaczone.

Piłat

Mogą liczyć na powodzenie u rzymskich patrycjuszek.

Faryzeusz

Nazarejczyk nie napisał ani jednego słowa. Ten komentator Pisma, ten burzyciel Pisma nie ma — trzeba przyznać — żadnych ambicyj literackich. Conajwyżej ma jakiś dziwny zwyczaj kreślenia na piasku niezrozumiałych znaków.

Piłat

No widzisz! Scripta manent — verba volant. Ale słowa, pisane na piasku, słowa, które wiatr rozwiewa, nie mogą być policzone.

Faryzeusz

To co on wygłasza publicznie i zapisuje w sercach słuchaczy jest groźniejsze od słów, zapisanych na papyrusie. Możecie nam zburzyć świątynię, możecie nas wygnać — wszystko to nie jest tak groźne, jak to co on robi. Nauka nasza jest niewzruszona, a kto godzi w Zakon Mojżesza, większą krzywdę nam wyrządza, niż ten, kto nas tępi ogniem i mieczem.

Piłat

Bardzo przejrzysta aluzja. Dziękuję. Więc lękacie się tego biedaka więcej, niż mieczów Cezara?

Faryzeusz

Izrael opiera swe istnienie jedynie na nauce Mojżesza, której nikomu nie wolno reformować! Nie wolno!

Piłat

Urządziliście się bardzo wygodnie. Sami nie zabijacie waszych wewnętrznych wrogów, na których żądacie wyroków śmierci. To my musimy spełniać wasze wyroki. Na nas potem spada całe odium. To my jesteśmy krwawi kaci, a wy — niewinne, łagodne owieczki, delikatny naród pasterzy i rolników. **(Po chwili).** Dlaczego wam tak bardzo zależy na śmierci tego jednego i właśnie tego nędzarza? Dlaczego chcecie uwolnić Barabasza, a ukrzyżować tamtego? Barabasz mordował, a ten tylko nauczał. Przypuśćmy nawet, że bluźnił.

Faryzeusz

On też morduje. Rzecz o wiele ważniejszą od człowieka. On morduje Thorę, morduje Sabbath, Oblubienicę Pańską, morduje porządek świata. Uzdrawia chorych w dniu Sabbathu, jada razem z celnikami, nie myje rąk przed jedzeniem. **(Faryzeusz płacze).** Myśmy Thorę nosili przez pustynię, upadaliśmy pod ciężarem Arki Przymierza! Poto, aby pierwszy lepszy przybłęda nam ją niszczył? On niszczy handel, i niszczy przemysł i niszczy dobrobyt Judei. Jest spokojny i nie wzywa do gwałtu? Ale co będzie, gdy zmieni taktykę i każe swym wyznawcom ruszyć na Synhedrion i zburzyć świątynię? Przecie powiedział: „Nie przynoszę pokoju, jeno miecz“! Kto on jest, żeby się przeciwstawiać nauce Zakonu? Kto on jest? Ciągle powtarza: Mówili starzy tak, a ja natomiast powiadam wam, co innego. **Ja, ja, ja!** Kto on jest? Syn stelmacha, syn zwyczajnego cieśli!

Piłat

Rzeczywiście przerost indywidualizmu, nie często spotykany.

Rzeczywistość nad Sekwaną*)

Noc zapadła już nad Champs Elisées i neony wspięły się na frontony kin. Wspaniałą ulicę zalała fala ludzi, którzy mówią po angielsku i płacą 25 franków za miejsce w kinie, by ujrzeć Katarzynę Hepburn. Ulica posiadających pasorzytów, pięknych i łatwych kobiet, kawiarni, w których wypoczywają i piją Paryżanie. Królewska avenue ludzi, którzy nie znają strachu przed jutrem, których dzieci owija się watą, jak tłukliwe najdelikatniejsze szkło, których kobiety kupują pudła cukrów po 100 franków, mają liczną służbę, szyją u Magy Rouf, albo zwiedzają Maison Heim.

Maison Heim! Nędznie płatne manekiny kręcą się, zmieniają suknie, wracają i odchodzą z uśmiechem zastygłym na twarzy. Niedaleko Citroen przedstawia swoje wozy w hali, która ma dziesięć metrów wysokości. Jest tu więcej powietrza niż tam gdzie się je fabrykuje.

Ulica możnych tego świata. Tu mieszkają ci „którzy żyją“. A ci „którzy cierpią“?

W hotelu na ulicy Morvan mieszka rodzina składająca się z ojca, matki w ósmym miesiącu ciąży i trojga małych dzieci. Rodzina posiada tylko jedną izbę i jedno łóżko. Na podanie wniesione z prośbą o mieszkanie, odpowiedziano im, że musi być conajmniej czworo dzieci.

Ich ulica jest stara, skrzywiona od nędzy. Jednak „bieda nie zakazuje patrzeć w niebo, ani nieszczęście mieć zawsze nadzieję“. Toteż gazeciarz wykrzykuje z wszystkich sił nazwy dzienników, póki głosu mu starczy. Dziś wieczór także musi jeść.

W rogu, tam gdzie rozpościera się taras modnej kawiarni, stoi w zimie sprzedawca kasztanów. Jego wołanie jest jednem z ostatnich wołań starego Paryża.

Młoda dziewczyna otwiera kiosk w zimie i w lecie już o piątej rano. Mimo rękawic ręce puchną jej od mrozu, ale to nie przeszkadza w pracy. Od rana do wieczora to samo, w nocy mruczy przez sen: L'huma!... L'echo de Paris!

Codzień o piątej rano. A jeszcze wcześniej ciężkie kadłuby obładowanych wozów, przywożących do Hal żywność dla czterech miljonów, wstrząsają głucho szarym brukiem.

Renaud de Jouvenel napisał książkę odważną, o głębokiej tendecji społecznej. To nie jest powieść, to fotografja à la minute, albo zwierciadło w którem może przejrzeć się cały Paryż, tak uderzające są kontrasty życia w słońcu i we mgle, życia nagórze i życia nadole.

To obraz ludzkiej bezbronności, strachu przed jutrem, obraz ludzkiej złej woli, bezmyślności, niezasłużonych cierpień i niezapracowanego szczęścia.

„Wspólna miara“ — to dokument zawstydzającej rzeczywistości.

Z jednej strony „odkryto zwłoki nieznanej kobiety. Nieszczęśliwa, która zmarła z głodu, była napół zjedzona przez szczury“.

Z drugiej strony „Pan Maurice de Rothschild spędzi lato w Deauville“.

Z jednej strony: „Bezrobotny roztrzaskał głowy swych dwojga dzieci. Nie był w stanie je dłużej utrzymać, nie miał zaś nadziei na otrzymanie pracy, bo był obcokrajowcem“.

Z drugiej: „Kapitan Jerzy de Montalinet i hrabina z domu Nessel, zawiadamiają o urodzeniu ich syna Kamila, w zamku de Montrambert“.

Renaud de Jouvenel nie zna żartów. Do walki z krzywdą! Precz z wyzyskiem! Renaud de Jouvenel porównywa dziecko „zgóry“, które pytało: A czem ty jeździsz? Mój tatuś ma Bugatti! — i dziecko „zdołu“, które samotne na świecie, szuka odrobiny choćby złudnego uczucia, dziecko wobec którego życie nie ma żadnych względów. Autor przebiega Paryż wzdłuż i wszerz w pogoni za krzywdą. Biegnie jej śladem, dogania, chwyta ją na gorącym uczynku. Jest jej tak wiele, że nie trudno ją znaleźć.

„Pan Duval ma się dobrze. Zamieszkuje osobny dom na ładnej ulicy, liczący cztery salony, dwie jadalnie, jedno piętro jest jego własne, drugie jego żony, dwa skrzydła zamieszkują jego syn i córka. Każdy jest u siebie: to naprawdę przyjemnie!“ Ileż w tem gryzącej ironji!

Nic nie ostanie się przed jego krytycznem wejrzeniem. Z kątów za ciepłym piecem wyciąga uprzywilejowanych, drzemiących senatorów, „niezależnych“ dziennikarzy, pisarzy żerujących na najniższych instynktach ludzkich, korzących się przed mamoną. Chłosta ich wszystkich. Wszyscy pod pręgierz!

Książka ponura, szara jak ulica i życie tych, którzy nie żyją, lecz cierpią.

Książka warta, by ją przemyśleć, a nie zgasić lampę, usnąć — i zapomnieć.

Ludwika Obrowiczówna

*) Renaud de Jouvenel. Commune mesure. Paryż, Editions Sociales Internationales, 1938.

LEON KRUCZKOWSKI

„ŚPIEW KOGUTÓW“ *)

Jak każdej niedzieli, przyszedł i dziś Krzyżosiak-ojciec. Schludny, z wygolonemi policzkami, w odświętnym czarnym surducie, przydreptał w pewnej chwili i stanął za plecami małego, czarniawego Jugosłowianina. Ignac, stojący obok, spostrzegł go pierwszy. Lekko trącił starego w mankiet, **„comment ça va, dziadku?“**, rzucił szeptem i — jakby nic — dalej patrzył gdzie patrzyli wszyscy.

Chłop ucieszony przywitaniem, chciał coś przyjaźnie odpowiedzieć, w sam raz jednak przypomniał sobie, że tutaj p o d c z a s t e g o rozmawiać nie wolno.

Jakoż milczeli wszyscy: ze dwustu chyba mężczyzn, w cierpliwem odrętwieniu stłoczonych wzdłuż drewnianej, wysokiej barjery. To nie żarty, łącznie rzucili w grę parę tysięcy franków. W **„chant des coqs“** obowiązuje uczestników surowy, choć nie wypisany nigdzie regulamin. Krzyżosiak, naprzykład, chętnie wyciągnąłby swą fajeczkę, ale wie, że p o d c z a s t e g o także palenie jest tu źle widziane; więc tylko przyglądał się jak inni, przyglądał się i słuchał.

Od trzech kwadransów już trudziły się koguty.

Było ich z półtorej setki. Długi rząd ciasnych klatek, oznaczonych numerami, chrypiał, bulgotał, pienił się krzykami pianń. Za drucianemi siatkami czarne i brązowe ptaki migały koralową czerwienią głów, wisiorami walecznych gardzieli. Uparty i namiętny śpiew jak grad pierzastych strzał wytryskał z klatek razporaz, kłócąc dziwacznym koncertem ciepłe sierpniowe powietrze.

Wyglądało to z zewnątrz jak kręgielnia w podmiejskiej gospodzie. Wzdłuż klatek, pod wąskim drewnianym daszkiem, siedzieli sznurem na długich ławach tarcicowych nieruchomi mężczyźni z ołówkami w rękach. Pełnili tutaj wysoce odpowiedzialne zadanie. Każdy miał na oku po dwa — w sąsiadujących ze sobą klatkach — koguty; ilekroć któryś z nich zaniósł się pianiem, czujny ołówek szybko notował kreskę na kartoniku, przypiętym do pulpitu z szarych desek i oznaczonym numerem odpowiedniej klatki. Ludzie, prowadzący ten osobliwy rachunek, działali ze ścisłością automatów; rzec można, składali się jedynie z oka, ucha i muskułów prawej ręki.

Tłum, stłoczony za ich plecami wzdłuż barjery, śledził drobne ruchy ołówków w cierpliwem skupieniu. Minuta za minutą, koguty darły się jak opętane. Ołówki przeliczały ich wrzącą namiętność na chłodne ludzkie rachuby.

Krzyżosiak przymknął powieki.

Nie przychodził tu, jak inni, dla — niedrogiego zresztą — hazardu. Nigdy jeszcze nie dał się namówić na postawienie bodaj trzech franków w cudacznej niedzielnej konkurencji. Lubił poprostu posłuchać krzepiącej wrzawy **kokotów.** Zwłaszcza tak właśnie, z przymkniętemi na chwilę powiekami. Wtedy znikali ludzie, obcy ludzie w kaszkietach robotniczych i beretach, znikała cała ta buda, podobna do kręgielni w podmiejskiej gospodzie, znikało całe Anblain z kolorowemi schludnemi domkami — wszystko **tutejsze** przestawało na chwilę istnieć aż po zamykające horyzont od wschodu wzgórze Bois du Val-Benoit. Był to tylko **śpiew kogutów,** ostry i zapalczywy, zawsze i wszędzie ten sam, w Ardenach i w sennych wioskach powiatu wieluńskiego...

To jedno chociaż, Bogu dzięki!

Wówczas wątła, starcza myśl Krzyżosiaka trwożnie przechyla się ku owej pamiętnej, dziwnej chwili, której wspomnienie mieszka w nim mrocznie, jak czerw pod korą drzewa. To było zeszłego roku, w kwietniu, więc jeszcze w kraju, na wsi pod Wieluniem. Tego dnia zmarła Krzyżosiakowi żona. Zamknął jej powieki, pogłaskał ciepłą jeszcze rękę, a potem wyszedł z izby do sieni i usiadł na wydeptanym progu. Był jedynym żywym człowiekiem w całej zagrodzie. Obojętnemi oczyma patrzył na pusty gościniec przed domem. Jaskrawe słońce wiosenne stało wysoko na bladem niebie. Krzyżosiak szarzał skulony w jego ciepłym blasku, niby zbutwiała pokraczna figurka wyciosana z drewnianego klocka.

Wtedy właśnie rozkrzyczał się kogut — wielki, mocny, rdzawo-brunatny, wychowaniec i ulubieniec nieboszczki. Wyszedł niespodziewanie zza węgła domu, wskoczył na brzeg drewnianej niecki stojącej przed progiem, i zaczął piać chrapliwie, obrzydle, razporaz, z niepojętą zajadłością. W białej od słońca, śmiertelnej ciszy zagrody ten ostry wrzask miał w sobie coś djabelskiego. Krzyżosiak, zdjęty nagłą grozą, przeżegnał się i trwożnym szeptem jął odmawiać pacierz za nieboszczkę.

Zarżnęli potem tego koguta, gdy w tydzień po pogrzebie starej syn przyjechał z Belgji. Ogryzając ugotowane skrzydło ptaka Michał zawyrokował krótko: „Zabieram ojca do siebie. Będzie ci u mnie, staruszku, jak w raju. Cóżbyś tu zresztą robił sam jak palec?“

Stary nie opierał się zanadto. Ślimaczył trochę, popłakiwał w kątach, lecz dał się nakłonić. I oto już od roku zgórą mieszka w tej Belgji. Michał prawdę mówił: narzekać tu nie można. Michałowi dobrze się powodzi: od paru lat utrzymuje w Anblain kafejkę oraz kantynę przy kopalni — kantyna to bardzo zyskowny interes, zwłaszcza gdy się ma przeważnie swoich, Polaków, za lokatorów. Odstąpił ojcu osobny pokoik w swojem mieszkaniu, wygody wszelkie są, jadło smaczne, z butelką piwa codzień do obiadu — narzekać wcale nie można, daj Boże tak każdemu! Tylko że...

Wrzawę kogucią przeciął nagle ostry, przeciągły sygnał elektrycznego dzwonka. Rozgrywka była skończona. Zaroiło się odrazu, zakotłowało. Ludzie, czuwający przy pulpitach, wstawali z ław i prostując zasiedziałe członki zbierali swoje kartoniki. Tłum za ich plecami, jakby wyzwolony spod zaklęcia, zagadał prędkim, różnojęzycznym szwargotem. Mały Jugosłowianin radośnie klepał się po udach. Właściciele kogutów przeskakiwali barjerę i żwawo biegli do klatek; wyjmowali ogłupione nagłym ruchem ptaki i troskliwie umieszczali je we własnych drewnianych skrzynkach, leżących na trawie. Zewsząd trzaskały zapałki, dymić zaczynały cygara i fajeczki.



Teraz już mógł Krzyżosiak przywitać się z rodakami. Z dwoma, gdyż Ignac był, jak zwykle, w towarzystwie Franca Wargatego. Stary chłop grzecznie: „Jakże dziś poszło, panowie?“ — spytał, podając im rękę.

— Czemu nie? Dobrze poszło! — Ignac wyjął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów. — Ino że to, powiedzieć, drobiazgi. Dla małych dzieci gra. Piętnaście **franek** ledwie dostawiłem, a Franc tylko piątkę...

— dla mnie wystarczy — pogodnie uśmiechnął się Wargaty biorąc od kolegi papierosa.

— **sigaret,** panie Krzyżosiak? Co, Bóg zapłać? Ee, pan zawsze tylko swoją fajkę... Ten tam Belgus, widzisz pan, z klateczką pod pachą — to nasz: fajnego ma **kokota.** Ale też spółkować z nim trudno, dopuścić nie chcą, zawsze do niego amatorów pełno... Po starej znajomości ledwie tych piętnaście dostawiłem...

— dobry **kokot!** — radośnie potwierdził Wargaty — **Prymę** dziś wypiał, sto na sto, jak maszyna...

— Doignon! — zawołał Ignac na przechodzącego obok nich tęgiego mężczyznę z kogutem w skrzynce. — Co, Franc, spróbujemy na drugą turę, ni? **Ecoute, Doignon, je mets encore en jeu, n'oublie pas!**

— **ça va!** — odmruknął Belg skinąwszy głową i poszedł dalej.

Ignac beztroskim ruchem przekrzywił kaszkiet na głowie.

— pójdziem i my, panie Krzyżosiak, co? Do salki, gardło czem przepłukać... wygralim przecie, ni? — śmiał się błaznując ruchliwą twarzą. Taki był zawsze, poufały z każdym, łatwy, rad ze swych dwudziestu pięciu lat.

— pan, panie Ignac, bardzo do tych **grów** zapalony — ględził Krzyżosiak gdy zwolna ruszyli wzdłuż drewnianego płotu ku piętrowemu murowanemu budynkowi. Przeciskali się wśród ludzi, leniwie wałęsających się po ciasnem podwórku.

— a co pan myślisz? Mam tu całe życie w węglu gnić, **sipować** i **sipować?** W tem łajnie? Gram, jakże, we wszystko gram. Koguty, **pronostyki,** konie — wszystko! — głos Ignaca nabrzmiał żarliwem przekonaniem. — Raz kiedyś musi człowiek trafić na swoją, jak to mówią, wielką szansę...

— daj Boże, daj Boże! — potakiwał życzliwie Krzyżosiak. Lubił tego chłopaka o wesołej, trochę zuchwałej twarzy, choć nie mógł pojąć, skąd się u niego bierze tyle zadowolenia z samego siebie. Wiadomo było przecież, że Ignac Pysz znaczną część zarobków tracił na różne tutejsze hazardy, po dwieście i trzysta franków miesięcznie, jak rok długi. I tak już coś od sześciu lat — bójcie się Boga, jaki pieniądz!

— ja tam do tego się nie palę! — rzekł Wargaty, śliniąc pękniętego papierosa. — Grunt żeby zarobić. Co zarobisz — twoje. Uszperować. Lepszy **franciszek** w portmonejce, niż dziesięć gdzieś tam... prawda, panie Krzyżosiak?

Przez wąskie drzwi wchodzili już do sieni. **„Quelle nouvelle, Pierre?“**, zagadnął Ignac znajomego w przejściu i pchał się pierwszy, torując rodakom drogę w ciżbie zalegającej wnętrze lokalu.

W pierwszej salce pracowali gorączkowo rachmistrze. Rozsiedli się przy długim czarnym stole pod oknami i na wielkich rubrykowanych arkuszach obliczali wyniki ukończonej dopieroco pierwszej tury konkurencji. Latały między nimi głośno odczytywane cyfry, nazwiska, numery. Tłum mężczyzn nieforemną kupą tłoczył się wokół stołu, śledząc w milczeniu przebieg skomplikowanych obliczeń.

Ignac machnął ręką. „Mamy czas. Jak skończą, wypiszą wszystko kredą na tablicy“... Przecisnęli się do salki frontowej. W gęstym, drażniącym oczy smrodzie fajek i cygar, w chmurze burego dymu, wypatrzyli wolny stolik w kącie pod ścianą.

— eksporcik, panie Krzyżosiak? „Spa“? Niech będzie „Spa“! — Ignac już dysponował garsonowi. — Jedną „Spa“, dwa eksporty! Franc, stawiasz na drugą turę? Nie? No to nie. Tylko ci powiem: tacy jak ty do niczego w życiu nie dochodzą. Daję słowo. Dobry z ciebie chłop, tylko ci fantazji brakuje, rozumiesz: fan-ta-zji! Tak. No, dobra. Zaraz tu do was wracam... — porwał szklankę jasnego piwa wprost z tacy garsona, **„Santé“**, mruknął podnosząc ją pod światło, łyknął spory haust, postawił i oddalił się w stronę kantorka przy bufecie, gdzie przyjmowano stawki do następnej tury **śpiewu kogutów.** „Jego“ Belg stał tam już, z ptakiem w skrzynce.

— zdrowie, panie Krzyżosiak! — powiedział Franc biorąc swoją szklankę. Stary uśmiechnął się grzecznie; ostrożnie nalewał swą lemoniadę z butelki do pękatego kieliszka.

Przez jakiś czas milczeli obaj. Salka, przyćmiona mgłą tytoniowego dymu, huczała zgiełkiem i ruchem. Mężczyźni różnego wieku, w kaszkietach na głowach, siedzieli ciasno przy stolikach, oblegali bufet, wschodzili i wychodzili, trzaskając szklanemi drzwiami od ulicy. Spocony, tęgi gospodarz miotał się przy błyszczących niklowanych kranach broczących żółtemi sznurkami piwa, zwijał się pracowicie wśród dzwoniącego szkła. Biała bluza garsona fruwała między stolikami.

Krzyżosiak siorpał drobnemi łykami musującą wodę i nieco spłoszonemi oczyma rozglądał się po sali. Choć nikt na niego nie zwracał uwagi, czuł się zakłopotany, skulony jakiś, skurczony wewnętrznie. Onieśmielała go obca mowa, skłócony szwargot słów, których nie rozumiał. Chwilami ogarniał go ckliwy, niejasny lęk przed tymi nieznanymi, głośno rozprawiającymi, pewnymi siebie mężczyznami. Wtedy serdecznym wzrokiem spoglądał nieznacznie na Wargatego, albo szukał oparcia w szczupłej sylwetce Ignaca, wytrwale błaznującego przy kantorku ze znajomymi tubylcami.

Owszem, grzeczni ludzie — ci Belgowie. I dobrze sobie żyją w tym swoim niedużym kraju. Dostatnio. Wygodnie. Ino, że trochę bezbożnie... Kościoły, chwalić Boga, są, tyle że puste bywają cośkolwiek... Krzyżosiak zato chodzi na mszę codziennie, wczesnym rankiem, tu w Anblain, do miejscowego kościółka... A w niedzielę to nawet dwa razy, bo na jedenastą — zwykle w towarzystwie syna — jeździ jeszcze tamwajem na sumę do miasta, do wielkiej bazyliki na Cointe (z trudem nauczył się wymawiać tę nazwę poprawnie)...

Swoją drogą, dziwne to jest z tą mową ludzką. Naprzykład, weźmy: łacina. Krzyżosiak, prosty chłop przecie, ani słowa nie rozumie z łacińskiej mowy — a tu, w Belgji, na sumie w bazylice jak ksiądz wersety mszalne śpiewa, wydaje się staremu, że pojmuje wszystko, wszyściutko... Łacińskie wszystkie wyrazy całkiem brzmią mu jakby po polsku, po ojczystemu — swojsko i zrozumiale. Przenikają go dziwną, uszczęśliwiającą radością...

A bieda to przychodzi dopiero z kazaniem. Siedzi sobie Krzyżosiak w niedzielę w białych murach bazyliki, na wyplatanem krzesełku, pilnie patrzy, aż oczy bolą tak patrzy w oblicze kaznodziei na ambonie — i nic, nic nie rozumie, ani jednego słóweczka, bo to przecież po francusku. Tak słucha każdej niedzieli, tak słucha ze wszystkich sił, aż mu potem z wysiłku w głowie ćmi i kołuje — i nic! Nic!

Powiedział o tem Wargatemu. Łykał drobniutko gazową, szczypiącą w ustach wodę „Spa“ i skarżył się strapionym głosem, wlepiając w rodaka bure oczy, szkliste, nawilgocone żałością.

— nieraz z tego popłaczę sobie gdzieś w kącie... tak panie Franc, bieda, wielka bieda! Synowi czasem mówię, że względem tych kazań żyć mi tutaj trudno, to tylko śmieje się ze mnie, przez kazania — powiada — chcesz ojciec wracać do kraju, czy co, — powiada — dajże ojciec spokój! Tak mi, widzi pan, perswaduje... Ale to wszystko nie pomaga, panie Franc, nie pomaga. Bieda, wielka bieda moja tutaj, co niedzieli!

Kiwał głową, zmartwiony do głębi, dziecinnie rozżalony.

Wargaty: **„Ja, ja“**, westchnął współczująco i do dna opróżnił swoją szklankę. On sam dwanaście lat już przeżył w Belgji (prawda, że z tego większą część we „flamskiej“ północnej stronie, w Limburgji), a przecież ledwo, ledwoco w najprostszych tylko rzeczach potrafi się wymówić po francusku, i to jeszcze — żal się Boże! — jakby kołek ciosał... Jakoś mu nie dopisywała głowa, chęci wielkiej też nie było, ani usposobienia... „Taki, panie Krzyżosiak, nasz los marny na obczyźnie... ja to wiem!“

— bo pan przecie tak samo Polak i katolik — tkliwie dopełnił stary. — Ej, mocny Boże, a kościoły tu ładne, spaniałe... gmachy okropne, jak choćby ta bazylika...

Wargaty uśmiechnął się niewyraźnie.

— jeszczem jej we środku nie widział — zwierzył się szczerze, z prostotą. — Jakoś tu, wie pan, kościoły mnie nie ciągną, rzadko bywam... odwykłem jakoś...

— ano, ano... — bąkał stropiony Krzyżosiak nie wiedząc co odpowiedzieć.

— ale co do tej mowy, niby, że się tutejszej nie rozumie, to ja to dobrze znam i wiem. Wielka z tem bieda. Pan już, rozumie się, w grubszym wieku, wtenczas cóż? kościół i, jak to mówią, słowo boże — najważniejsza rzecz...

— prawda, to prawda, panie Franc...

— a znowu, jak się ma lat trzydziestkę i do tego w kawalerskim stanie, zaś insza bieda. Przeważnie, panie Krzyżosiak, co się tyczy względem **babów...**

— pewnie, pewnie! — zgodził się stary, nagle zakłopotany. Wargaty jednak uznał za stosowne nie kończyć swych zwierzeń. Zadumał się posępnie, oparł na dłoni twarz nijaką, jakby wyżętą z podskórnych soków, pełną brzydkich plam po goleniu.

Młody był przecie, choć już właściwie trzydziestkę przekroczył. Regularnie każdej soboty jeździł tramwajem do miasta i składał krótką wizytę którejś z przystępnych mieszkanek ulicy sur-les-Foulons. I cierpiał, za każdym razem cierpiał boleśnie, gdyż nie rozumiał umiejętnych, szczebiotliwych słów miłości, jakiemi go obdarzały uprzejme kochanki. Cierpiał jakby w poczuciu jakiegoś dotkliwego w sobie kalectwa. Pod niepowabną powierzchownością ukrywał wielki głód tkliwości, lecz jakże mógł go nasycić u tych kobiet, które tylko uśmiechały się bezmyślnie gdy w chwilach prędkiej rozkoszy wjękiwał im w nagie piersi jakieś wyznania niedołężne w chłopskim ojczystym języku?

— tak sobie teraz zamyślam, panie Krzyżosiak, żeby się ożenić... — wyjawił niespodzianie, tonem człowieka łaknącego życzliwej dorady. — Z rodaczką, rozumie się, z uczciwą polską dziewczyną...

— słusznie, panie Franc, słusznie! żeby ino pan trafił szczęśliwie... — stary rozejrzał się na boki i ostrzegł ściszonym głosem — Tu, w Belgji, powiadają, moralność licha u kobiet i obyczaje rozwiązłe...

Pomyślał w tej chwili i o własnym synu, który wdowcem będąc od lat kilku, zdrożny utrzymywał stosunek z Polką jedną, w Leodjum, także wdówką, z ulicy Ste-Marguerite.

— toteż ja, panie Krzyżosiak, z kraju chciałbym sprowadzić dziewczynę. Pewniejsze to, tylko że trudne bardzo...

Ba, rozumie się, że trudne, zwłaszcza gdy się od dwunastu lat przebywa na obczyźnie. Na szczęście, miał Wargaty siostrę w kraju, w małem miasteczku koło Gostynia. Parę miesięcy temu, kiedy powziął myśl ożenku, napisał do niej obszerny list z przedstawieniem swych zamiarów i z prośbą o wskazanie mu osoby, z którą mógłby

*) Fragment niniejszy jest rozdziałem nowej powieści autora „Sideł“. Z inicjatywy wydawnictwa Gebethnera i Wolffa pisarz ten w ub. roku spędził kilka miesięcy w Belgji, wśród tamtejszego wychodźtwa polskiego. Rezultatem przeprowadzonych w tem środowisku badań i obserwacyj ma być najbliższa, na jesień tegoroczną zapowiadana powieść Kruczkowskiego. **(Red.).**

nawiązać miłą a poważną korespondencję. Odpowiedź przyszła szybko, bo już po trzech tygodniach, i zawierała szczegółową, nader korzystną rekomendację dwudziestodwu letniej panienki, nadającej się na ewentualną towarzyszkę życia dla takiego jak on, Franciszek Wargaty, mężczyzny. Po kilkakrotnem i rozważnem zgłębieniu treści tego listu zdecydował się Franc niezwłocznie przystąpić do działania. Nie ufając atoli własnym w tak delikatnych i trudnych zabiegach uzdolnieniom, zwrócił się o przyjacielską pomoc do Ignaca, cieszącego się opinją biegłego i zręcznego w piórze, pełnego polotu kawalera. Pysz, zawsze uczynny, nie odmówił. Wspólnie, w pewnej spokojnej kafejce, przy piwie, ułożyli długi, kwiecisty i rzeczowy zarazem list, który widocznie trafił do serca adresatce, gdyż stał się zawiązkiem dalszej, coraz gorętszej i coraz zbliżającej się do ostatecznych wniosków korespondencji.

Dziś właśnie, popołudniu, zasiąść mieli z Ignacem do najważniejszego, decydującego listu, w którym Franc wyłuszczyć chciał nieznanej panience z powiatu gostyńskiego — w sposób uroczysty i formalny — swoje małżeńskie propozycje. Od paru dni odczuwał z tego powodu zrozumiałe podniecenie. Teraz, przy Krzyżosiaku, rozkleił się do reszty. Wzmianką o niedoli religijnej na obczyźnie stary poruszył w nim do dna wszystkie mdłe, goryczą zaprawione wspomnienia z ulicy sur-les-Foulons. Był tam Franc nie dalej jak wczoraj i wrócił do domu późnym wieczorem, lekko woniejący lichutką perfumą i bardziej niż kiedykolwiek przygnębiony.

— mówią, panie Krzyżosiak — odezwał się, znów podejmując kulawą rozmowę — że z Polski dziewczęta chętnie wydają się za naszych, do Francji i Belgji...

— musi, tak ono jest, skoro mówią...

— też tak myślę. B i d a tam większa jak tutaj... i dziewcząt dużo, ho! dziewcząt w Polsce dużo! — Franc uśmiechnął się tkliwie szaremi oczyma i dodał jeszcze — M o j a, wie pan, u doktora jednego służy, w mieście Gostyniu...

Sięgnął raptem do kieszeni marynarki, wyciągnął postrzępiony portfel i zaczął w nim grzebać wśród przybrudzonych papierów i dokumentów. Chciał pokazać staremu fotografję, którą otrzymał niedawno, w ostatnim liście z Gostynia. Niestety, Krzyżosiak zerknął właśnie na zegarek, „o dla Boga, kwadrans po dziesiątej!“, wstał w nagłym popłochu, ogarnął się, wydłubawszy franka z kamizelki położył go na stole.

— zasiedziałem się, ostatni czas jechać na sumę! — wyciągnął przez stół rękę do Wargatego. — Do zobaczenia się, panie Franc, w przyszłą niedzielę... — spojrzał jeszcze ku bufetowi, ale Ignaca tam już nie było, zawieruszył się w głębi lokalu.

Wargaty podniósł strapione nagle, pełne niemego wyrzutu oczy: w milczeniu uścisnął dłoń starego. Przykro mu było. Znalazł właśnie i chciał koniecznie pokazać Krzyżosiakowi fotografję, lecz zbity z tropu trzymał ją tylko w palcach bezradnych i z żalem patrzył za przemykającą wśród stolików zgarbioną postacią rodaka.

Krzyżosiak zamknął za sobą drzwi lokalu. Miał zaledwie parę kroków do przystanku tramwajowego. Ruszył ku niemu drobnym krokiem. W sierpniowem słońcu ulica falowała kolorami; z jednopiętrowych schludnych kamieniczek zwisały gęsto sztandary czerwono-żółto-czarne. Tu i ówdzie złociła się odrębnym blaskiem walońska flaga: żółta kwadratowa płachta z purpurowym kogutem pośrodku.

Dzwoniąc wesoło nadjeżdżał z hukiem wielki, zielony tramwaj w stronę miasta.

Leon Kruczkowski

ROMAN KUPCZYNŚKYJ

RŻYSKA

Gdy ostatni snop zabrano z pola,
aby spoczął w stodole,
wyszedł wicher z wądołu, nie szuszcząc,
i rozejrzał się: P u s t o!

G r a j, m u z y k o! Zagrały topole.
W e s e l e j! Gra, co zdoła.
N a b o k, p r e c z, p o g a r b i e n i l u- [d z i s k a!
J a s i ę n o s z ę p o r ż y s k a c h.

Długopołą rozrzucił kitajkę,
pogroził jeszcze grajkom
i zatoczył się kołem, kołuje,
runął wprzód, galopuje...

GOŚCINA

Wiosko moja! Do ciebie w gościnę
przyjechałem z zadymionych ulic.
Tak mię przyjmij, jak matka dziecinę,
rosy lekiem z niepokojów ulecz.

Przyjmij w zieleń łąk i w złote pola,
popieść dłońmi miodnego powiewu,
zładź muzykę: niech zagra topola
nutę moich pacholęcych śpiewów.

Przyjmij w las, co turkawkami grucha,
i kukułkę przywołaj w pobliże:
niech mi długo i serdecznie kuka,
lata szczęścia na kukanie niże.

Przyjdzie nocka z księżycem-kochankiem:
niech mi słowik sen rozpłasza głosem.
Gdy oboje zdrzemną się nad rankiem,
wy mię, szumy ukołyszcie sosen.

Wiosko moja! Przyjmij dobrotliwie,
odmyj gościa nurtem swych piękności.
Modlę ci się, jak Temu, co dziwnie
strop niebieski, gwiazdami wymościł.

przełożył z ukr. T a d e u s z B o c h e ń s k i

MARJAN CZUCHNOWSKI

ŚWIEŻY REPERTUAR*)

Dotychczasowa polska literatura dramatyczna bardzo skromnie wyzyskała prawdziwe życie prawdziwego chłopa. Był on przez nią traktowany jako krwawy demon albo poczciwy głupiec, któremu spadła z nieba misa złota. Chłop polski nie był ani jednym ani drugim. Na biedniutkich, pańszczyźnianych scenkach ludowych, tłukły się sztuki, w których chłop był kukłą, a nie żywym, myślącym i rozumnym człowiekiem. W wieku dwudziestym odgrywano na scenie chłopa z okresu pańszczyźnianego, przeinaczonego przez szlacheckich inteligentów w cudacznego kołtuna. Podrabiano gwarę, podrabiano psychologję, charakter, wygląd fizyczny, gesty, ruchy. Ten podrabiany chłop zgrywał się w farbowanych kostjumach jak błazen jarmarczny. Nie było tu prawdy ani krzty.

Sfałszowany, z dziewiętnastego wieku chłop tłucze się i snuje po dziś dzień po scenach chłopskich i robotniczych, kierowanych przez inteligentów. Gdzie jest chłop z dwudziestego wieku, chłop, który się bił na frontach o Polskę ludową, chłop uczestnik rewolucji niepodległościowej, chłop socjalista, ludowiec, społecznik, postępowiec? Pokazują nam w teatrach burego tumana, ponurego i ciemnego. Przecież Wyspiański nie ustrzegł się w „Weselu“ uproszczeń, Rostworowski zaś je pogłębił w „Niespodziance“! Gdzie się podziało chłopskie, wysokie poczucie humoru? Wymieciono je ze sceny wraz z prawdziwym chłopem. Dziedzina repertuaru teatrów chłopskich i robotniczych jest bardziej brudna niż stajnia dworska.

Nie wyzyskano rzeczywistości społecznej, zakłamano ją; nie wyzyskano wspaniałej twórczości muzycznej i pieśniarskiej. Kryształowy surowiec pieśni chłopskich leży przywalony płytami gramofonowemi, zapisanemi charkotem szmoncesów. Pieśni szczerze chłopskiej nie znajdzie w szkołach, konserwatorjach, zakładach muzycznych; są smutne, skaleczone przeróbki. Pod tym względem Z. S. R. R., Niemcy, Francja — są cudem; staranność w utrwaleniu dorobku ludowego idzie tam w parze z talentem. A u nas? U nas „Wici“ dopiero mają pierwszą zasługę w skrzętnem zbieraniu pieśniarskiej tradycji. Chłop bez ziemi i bez piosenki to jak żołnierz bez broni.

Owszem; są śpiewniki. Ale szukać w nich śladów chłopskości, to tyle, co szukać szpilki w lesie przez binokle krótkowidza. Zbierano te rzeczy, które nie wyzwalały chłopa, które nie podsycały jego siły gromadzkiej, które nie zaostrzały jego dumy klasowej. Chciano utopić chłopa w „morzu polskości“ tak jakby chłop nie był Polską! Obok pieśni, które wyrastały w cieniu dworów, plebanji i kamienic kupczyków, rodziły się dumne, jędrne pieśni buntu, rdzenne pieśni ludowe, tworzone przy pługu, na weselu, w więzieniu, w masowych ruchach społeczno-politycznych. O tych pieśniach głucho w oficjalnych kancjonałach. Wydobyć ten teatr pieśniowy, to prawdziwe morze polskości, jest obowiązkiem naszego pokolenia. Jeśli mamy odwagę wydostać z kurzu zapomnienia delikatne hafty pieśni miłosnych, miejmy odwagę wydobyć pieśni, w których kipi krew i dzwonią kosy i widły.

W tej ogólno-chłopskiej akcji muszą wszyscy wziąć udział. Trzeba zebrać wszystkie pieśni ludowe i robotnicze i zwrócić je nowemu teatrowi ludowemu. Nie wolno uronić tak samo ani jednej perły jak nie wolno uronić ani jednej rdzy z łańcucha pieśni o pańszczyźnie. Niech nasze całe pokolenie wie, że nasi praojcowie nie przypatrywali się biernie batom ekonoma, spadającym na plecy, ale plecy te prostowali i uwiecznili to w pieśni. Trzeba pokazać współczesnemu chłopu prawdziwego chłopa z ubiegłego wieku. Tego chłopa pokazuje choćby taka wiązanka z pieśni śpiewanych w r. 1846 w pow. gorlickim (tarnowskim, ropczyckim i in.):

Pytała się pani pana
kiej pańskie ustanie.
A pan woła na fornala:
dawaj bata na nie.

Pocekaj ty panie
będzie tu odmiana,
wjedzie chłop na pana
jak wilk na barana.

Królewszyźni byli
i pańskie robili.
Posed chłop na pańskie
to go batem bili.

Takich ilustracyj prawdziwej chłopskości w naszej historji możnaby w kraju dużo zebrać. Te rzeczy giną tępione przez kołtunów, zapominane w hałasie dnia roboczego przez potomków buntujących się przed wiekiem pańszczyznianych niewolników. Tromtadracki i „bogoojczyzniany“ repertuar celowo spętał prawdziwe zagadnienia chłopskie w mroki kulisów i nie pozwolił im wyjść na scenę. Polityka szlachty, kleru i kupczyków wolała widzieć chłopa sfałszowanego, nieprawdziwego, niż dać mu wolność wypowiedzi. Teraz powinno być inaczej. Chłopi sami powinni wziąć w garść swe sprawy, przepędzić fałszerzy i oszustnych nauczycieli i sami powinni dbać o siebie. Nie czekać aż ktoś się zlituje ale wywalczyć sobie nowe życie. W dziedzinie teatralnej też niema się co oglądać na kogo. Pisarze chłopscy i chłopskie zespoły teatralne powinni ręka w rękę bić się o nowy teatr chłopski. Walka ta powinna się toczyć zarówno o utrwalenie i zastosowanie tego co było oryginalne w przeszłości, jak i o tworzenie nowych wartości w oparciu o rewolucyjną i wyzwoleńczą tradycję w chłopskiej sztuce. Powinno się zdrapywać szlachecki lakier z chłopskiej twórczości, zmywać brud i fałsze aż spod patyny błyśnie prawdziwe złoto. Nie wszystko co w dziedzinie sztuki chłopskiej zrobili nasi poprzednicy jest dobre ale prawie wszystko jest oryginalne po swojemu.

W dotychszasowym repertuarze ziemiańsko-klerykalnym a później półinteligenckim przeważały sztuki o charakterze „dydaktycznym“ („trzeba lud nauczać“ — „oświata ludu dokona cudu“) i „religijnym“, później „patrjotycznym“. Ta dydaktyczność, religijność i patrjotyczność były tego rodzaju, że wszystko, co było w przeszłości miało być dobre, co zaś jest teraz, to złe. Stąd płynęły pochwały dla ludzi sprytnych, choć nieraz drani, majętnych a ubogich duchem, pokornych („pokorne ciele dwie matki ssie“ — „pokora niebiosa przenosi“), dla ludzi, którzy stali w obronie starego porządku, nie chcieli zmian i nowinek; bogacz był zawsze mądry; czasem wprowadzono młodego parobka, który za „wierną służbę“ nagrodzony został przez proboszcza i dziedzica — córką wójta. Oczywiście, że religijność pojmowano jako zewnętrzne praktyki (wydziedziczył syna socjalistę, cały zaś majątek zapisał na kościół), patrjotyzm pojmowano w ten sposób, że chłop był posłuszny klerowi („módl się i pracuj“) i dobremu panu (dziedziczce lub dziedzicowi), który oczywiście jako największy bogacz we wsi był przez to samo najsolidniejszy i najmądrzejszy. Repertuar ten miał charakter wybitnie obyczajowy („nie pij u Żyda, pij u Polaka“) i wywoływał całkiem inne skutki, niż „zamierzał“, uczył bowiem pogardy dla pracy („majątek to grunt co ci po miłości?“, — „z miłości nie wyżyjesz“) innej niż rolnictwo i uczył chciwości, faryzejstwa, zniepraw ał godność osobistą człowieka bez ziemi czy majątku, uczył samolubstwa i egoizmu zamiast miłości ojczyzny. „Filozofja“ patrjotyczna w takich sztukach streszczała się zawsze w zdaniu powtarzanem w życiu (i na scenie) przez proboszcza, dziedzica czy wójta: „żeby tak każdy kochał ojczyznę jak ja, toby było w Polsce dobrze“. Ten ordynarny, cyniczny egoizm bogaczy był bardzo marną lekcją obywatelskich obowiązków.

Oprócz sztuk, które miały wzniecać ten „niby patrjotyzm“, religijność, moralność swoistego typu, mnożyły się „dramaty miłosne“, w których kobietę traktowano jak tuczną krowę. Djalogi „miłosne“ tych sztuk tchną zaduchem fantastycznej krowiarni i gwary koni w podmiejskim szynku. Niczego bardziej nie zaświniono jak miłości i moralności, dając rzekomo „prawdziwe obrazki“. Kto nie zna chłopek i ich tkliwego i ślicznego języka miłosnego (nie mówię o krowach z mieszczańskich mózgownic), pełnego tęsknoty, poezji, marzenia i pieszczoty, przy największej nawet brutalności uczuć, ten nigdy nie powinien ani słowa napisać o miłości chłopskiej. Naturalnie nie mam tu na myśli kupna i sprzedaży małżeńskiej u niektórych kmieci.

Ileż teraz trudu trzeba włożyć, aby zedrzeć brud z dotychczasowego repertuaru! Ideologją dotychczasowych scenopisarzy „dla ludu“ była chytra i naiwna zarazem zasada „bawiąc uczyć“. Myślą przewodnią nowoczesnych pisarzy powinno być — chcemy żyć. Żyć w teatrze tak samo jak w domu, jak w polu, jak w lesie, jak w gromadzie — żyć lepiej ale nigdy gorzej. Nie potrzeba nam głupich, ciemnych i nieprawdziwych chłopów — trzeba nam pokazać co potrafią prawdziwi i żywi chłopi.

Odświeżenie repertuaru będzie musiało iść wszystkiemi drogami, któremi się naprzód chodzi. Trzeba uszanować każdą ścieżkę, każde najskromniejsze choćby przejście, obok szerokich, pięknych gościńców. Nowemu teatrowi musi się dać nowy i zdrowy repertuar. Ten repertuar trzeba zrobić. Niechże więc obok zawodowych literatów, zrobią go sami chłopi i robotnicy. Przedewszystkiem trzeba dokładnie zabezpieczyć dotychczasowy dorobek istniejących już zespołów chłopskich i robotniczych, potem zebrać go razem, wybrać z niego marmury i kryształy, dębinę i koronki, stworzyć prawdziwy instytut teatralnej sztuki ludowej, zaprzęgnąć następnie do pracy najwybitniejszych chłopskich i robotniczych pisarzy, dekoratorów, reżyserów, śpiewaków, dyrygentów, aktorów, wszystkich świadomych i nieświadomych przyjaciół teatru, pchać naprzód zespoły, robić zjazdy, pokazy, manifestacje, wydawać utwory sceniczne, zbierać wciąż nowe materjały, walić o pomoc do samorządów, związków kulturalnych, ministerstw i rządu. Mamy do tego pełne prawo. Pomogą nam to dobrze, nie — to drugi raz nie będziemy prosić.

Pokazać współczesnego chłopa w teatrze, to przedewszystkiem dać mu teatr do prowadzenia. Niech pisze, maluje, gra, wystawia, buduje, walczy, stara się sam o siebie bez mamek, bez nianiek, bez cenzorów, moralizatorów, improwizowanych prokuratorów i niepowołanych, często rzetelnie zapijaczonych „obrońców moralności“. Wtenczas, ach, wtenczas to i półinteligenci takiemu teatrowi nie zaszkodzą ale może sami zaczną się czegoś uczyć naprawdę!

Z tego co w dotychczasowym repertuarze miało się przyczynić do „naprawy obyczajów“ i starodawne, rzekomo chłopskie obyczaje w sztuce utrwalić, dziś prawie nic nie jest artystycznie warte. Pokazywano chłopa ujętego jednostronnie. Był to „pobożny“ głupek, pijak, ciemny zabobonnik i chytry oszust, choć wszyscy wiemy bardzo dobrze, że takim w całości chłop nigdy nie był. A cóż dopiero mówić, że tacy mieli być rzekomo wszyscy chłopi. Byli też chłopi inni, ale tych nie raczyła ciemnota półinteligencka na scenie pokazać. A może ich nie znała? Z pewnością wielu było autorów „dramatycznych“, którzy nie mieli pojęcia o prawdziwym chłopie. Chłopów widzieli na „paradach patrjotycznych“ po dwa guldeny od konia i niektórzy myśleli, że rzeczywiście krakowianka w gorsecie krowy doi a krakus kosi łąki w sukmanie i gęsto brązem nabijanym pasie. Ale inni autorzy znali chłopów bliżej. Dlaczego jednak nie pisali prawdy? Było tu kilka przyczyn: słabizna talentów, naśladownictwo, zbywanie tematu i wysługiwanie się świadome lub nieświadome ziemiaństwu i klerowi.

Dlatego też stosunkowo najżywiej wychodził chłop w satyrze, komedji lub farsie. Tu także nie nachlastano arcydzieł ale w komedyjkach dowcipu jest sporo, pomysłów scenicznych i ostrej ironji. Tu wśród brutalnego śmiecia i prostackich zaczepek — znaleźć można kilka sztuk, które mogą iść z powrotem w nowym teatrze. Dziedzina satyry może święcić wielkie tryumfy — dobry żart rzeczywiście teatru wart! Ileż to pysznych postaci wójtów, sołtysów, urzędników gminnych, księży, dziedziców i nowobogackich, posterunkowych czy nie-posterunkowych czeka aby ze sali słuchaczy przenieść ich na scenę!

Duży brak jest sztuk historycznych. Cała historja chłopska czeka na swych dramaturgów. Czasy Kazimierza Wielkiego, wojny szwedzkie, Kostka Napierski, Chmielnicki, rok kościuszkowski, powstania narodowe, Chochołów, Szela, wybory galicyjskie, a zniesienie pańszczyzny? A powstanie niepodległości? A lata ostatnie? Czego tknąć, wszędzie luka, wszędzie czas czeka na swego rysownika.

Połóżmy krzyżyk na tem co w dziedzinie repertuaru było, trzeba wszystko zaczynać odnowa. Niech na scenie rozbrzmiewa chłopski, polski język, niech wystąpi chłop świadomy swych celów, zadań, obowiązków, chłop potomek tych co byli pod Kościuszką, co byli w r. 1831 w powstaniu w Warszawie, co znali rok 1846, co wozili bibułę i broń w r. 1905 — ten chłop, który nieustępliwie walczy o Polskę Ludową.

W starych sztukach zacierano skrzętnie społeczne różnice; obok cudacznych chłopków w sukmanach, pętali się po scenie panowie; niby „z szlachtą polską polski lud“. W nowej sztuce różnice muszą wystąpić zgodnie z prawdą dziejową. Bo nowy teatr będzie oparty na prawdzie. Nowy repertuar rozbije zakopcone lampy i wyprowadzi ludzi na słońce. Niech błyszczą tak jak są.

*) Por. w nr. 63 „**Walka o teatr ludowy**“ i w nr. 64 „**Scena, aktor i... klapa**“.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

DZIŚ

J ó z e f o w i W i t t l i n o w i

To jest ten właśnie smutek: życie dziś.
Człowiekiem być nie wolno. Zabij myśl,
w gruczoł który hormonem tryska nienawi- [ści,
zmień serce! Wtedy nowi staniemy i czyści.

Już nic nie wiąże takich z wiekami, co [piękna,
dobra, prawdy żądały, przeszłość niepa- [miętna.
Już nic nie woła takich pod księżyc i gwia- [zdy,
nie każe Boga wtęskniać w omrok nieprzy- [jazny.

W bezbożu i bezludziu plemi się i mnoży
klan półludków, by w sobie na siebie się [srożyć,
ciszy nie czcić ni mózgiem tajemnicy gryźć.
To jest ten właśnie smutek: życie dziś.

* * *

W poprzednim (65) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 marca: **Wiktor Ehrlich**: Brzozowski a socjalizm. — **Juozas Kekesztas** (przełożyła z litewskiego **W. Górska**): Szkice jesienne. (Pieśń na jesiennym wietrze. Człowiek wśród nocy. A jednak). — **Zygmunt Jarosz**: Parasol i bufor. — **E. Szemplińska - Sobolewska**: Pejzaż zimowy. — **Jules Romains** (przełożył **Wacław Rogowicz**): Niemiecki rewolucjonista. — **Jan Śpiewak**: Rozmowa z Adamem Ważykiem. — **Jerzy Putrament**: Pisarze na Zaolziu. — **Jonas Dagys**: Literatura litewska w Polsce. — **Zofja Solarzowa**: O teatrze Gacaków. — **Jerzy Pański**: Teatry warszawskie. — **Bolesław Dudziński**: Poezja Szymańskiego. — **Wanda Kragen**: Kronika rodu Pasquier. — **Wacław Moraczewski**: Jan Gw. Pawlikowski. — Korespondencja: (**Michał Chudy, Józef Bielicz, Stanisław Baczyński, Zygmunt Jarosz**). — Deterding. — **Paweł Konrad**: Znachor polityczny. — 1 ilustracja. 8 stron.

JERZY KAROLCZAK

Ewolucja folwarku pańszczyźnianego*)

Jednem z najważniejszych zjawisk w życiu społecznem Polski, począwszy od drugiej połowy XVIII w. aż daleko wgłąb w. XIX, jest zróżniczkowanie klasowe szlachty, szlacheckiego obszarniczego rolnictwa i walka poszczególnych grup klasowych wewnątrz szlachty. Etapami tej walki były starcia reformatorów i reakcjonistów w drugiej połowie XVIII w., szczególnie zaś w okresie Sejmu Czteroletniego, powstanie kościuszkowskie i in.

Nie można zrozumieć istoty tych walk nie znając ekonomicznych podstaw zróżniczkowania klasowego.

W rolnictwie, które doszło wskutek całkowitego przeżycia się pańszczyzny, do stanu katastrofalnego upadku, zaczynają w końcu XVIII w. działać momenty poprawy, ukazują się wyraźne objawy postępu. W ciągu piętnastu lat, dzielących pierwszy rozbiór od Sejmu Czteroletniego, produkcja rolna wzrosła tak silnie, że przewyższyła produkcję przedrozbiorową, mimo utraty wielu żyznych prowincyj. Korzon stwierdza w okresie czterech lat Sejmu wzrost nieomal burzliwy. Wszyscy badacze sprawy rolnej, a nawet wszyscy historycy godzą się, że druga połowa XVIII w., a zwłaszcza zaś ostatnia ćwierć tego wieku, jest okresem poprawy sytuacji w rolnictwie, ściślej mówiąc, w pewnej części rolnictwa.

Jakie były siły napędowe tej poprawy?

Nie ulega wątpliwości, że przymusowa praca pańszczyźniana i zrujnowana gospodarka szlachecka nie mogły stanowić podstawy tak poważnych zmian. Barbarzyństwo i prymitywizm pańszczyzny doprowadziły rolnictwo polskie do katastrofy. Jakże więc mogły stać się nagle fundamentem poprawy?

Analiza stosunków społecznych na wsi polskiej wskazuje, że już od połowy XVII w. znaczenie pańszczyzny w organizacji pracy folwarcznej maleje. Stwierdzając, że pańszczyzna przestaje być wyłączną formą pracy chłopskiej na pańskiem, nie mamy, rzecz jasna, na myśli, nielicznych, niezbyt rozpowszechnionych wypadków posługiwania się przez dwory stałymi robotnikami najemnymi.

Było to zjawisko stałe w życiu folwarków pańszczyźnianych i choć w XVIII w. zastosowanie tej formy pracy rozszerzyło się w porównaniu z w. XVI czy XVII, to jednak nie tu należy szukać istotnych przyczyn postępu w rolnictwie.

Badanie wsi pokazuje, że w XVIII w., w drugiej połowie zwłaszcza, rozpowszechnia się inna forma pracy niepańszczyźnianej, czerpana przez dwory z pokaźnej warstwy zagrodniczej, chałupniczej i komorniczej ludności wiejskiej.

Rozwój pańszczyźnianego folwarku wypchnął w całości lub w znacznej części bezrolnych i małorolnych chłopów poza nawias życia gospodarczego wsi pańszczyźnianej. Nadziałowe ich gospodarstwa, jeśli istniały, nie wystarczały z reguły na wyżywienie rodziny chłopskiej i zapewnienie normalnego biegu reprodukcji. Chłopi ci musieli zatem szukać dodatkowego źródła utrzymania na folwarku.

Również folwarki, którym nie wystarczała przymusowa, prymitywna i barbarzyńska praca pańszczyźniana, musiały szukać innych źródeł siły roboczej. Znajdowały je na bezrolnej i małorolnej wsi. Jednakże dodatkowa ta praca musiała mieć inny charakter, niż zwykła, tradycyjna pańszczyzna. Pańszczyznę bowiem odrabiali wszyscy ci małorolni i bezrolni chłopi i tak. I to co wiadomo nam o sprzecznościach pracy pańszczyźnanej, odnosi się do pańszczyzny małorolnych i bezrolnych w większym jeszcze stopniu, aniżeli do pańszczyzny innych grup wsi. Jeśli powiększanie rozmiarów pańszczyzny całej wsi nie mogło zapobiec ruinie folwarków, to już najmniej można było osiągnąć przez zwiększanie pańszczyzny najbiedniejszych, najbardziej wynędzniałych grup wsi. Właśnie niedostateczność pańszczyzny i brak możliwości wyjścia w jej ramach skłaniały dwory do zatrudniania dodatkowych sił roboczych spośród małorolnych i bezrolnych. Ale też praca ich nie mogła być zwykłą pańszczyźnianą harówką. Miała ona dla dworu sens o tyle tylko, o ile zawierała w sobie nowe jakieś momenty, nowe czynniki.

Życie bowiem pokazało już, w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że samo powiększanie pańszczyzny nie prowadzi do celu. Już najtwardsze łby szlacheckie zaczynają rozumieć, że nie można skłonić chłopa do intensywniejszej pracy przez samo zwiększanie porcji kijów, spadających na jego pochylone plecy. Należy przypuszczać, że zdziwienie wywołane tym faktem, było w wielu umysłach szlacheckich przebudzeniem się myśli.

Życie pokazało także, gdzie należy szukać nowych podniet do pracy. Polegały one poprostu na szerszem zastosowaniu pewnych zjawisk, które rozwinęły się już w dotychczasowych warunkach życia folwarcznego. Chłopi pracowali bowiem na rzecz folwarku nie tylko wtedy, gdy pod przymusem odrabiali pańszczyźniane powinności. Pracowali także wtedy, gdy otrzymywali z dworu świadczenia, za które odrabiali pewną liczbę dni robocizny, a więc w razie udzielania im przez dwór inwentarza czyli t. zw. załogi, pożyczki czy innej pomocy. Urządzenia te rozwinęły się tak silnie, że zyskały już prawo obywatelstwa w życiu wsi, w stosunkach między dworem a chłopem. Istota ich polegała na tem, że chłopi zobowiązywali się do pewnych świadczeń w robociźnie wzamian za pewne świadczenia dworu. Różnica między tego rodzaju pracą a zwykłą pracą pańszczyźnianą jest zupełnie wyraźna — polega ona właśnie na momencie wzajemności świadczeń.

Podstawą pańszczyzny był przymus pozaekonomiczny; granice tego przymusu wyznaczał interes dworu. Pańszczyzna nie znała zasady wzajemności świadczeń. Chłop musiał pracować na pańskiem dlatego, że był chłopem, nie dlatego zaś, że coś za to dostawał. Wzajemności świadczeń nie zapewniał nadział, mimo że był on swoistą formą płacy roboczej. Widać to choćby z tego, że obowiązki pańszczyźniane ciążyły nawet na chłopach, całkowicie pozbawionych nadziału, całkowicie bezrolnych. Trudno o bardziej oczywisty dowód przeciw fikcji wzajemności świadczeń w pańszczyźnie, przeciw twierdzeniu, że „wzamian“ za nadział musiał chłop ponosić powinności. Zbadanie zaś genezy pańszczyzny wskaże, ile krwawej ironji mieści się w tej fikcji: wiadomo przecież, że ziemie pańskie, to w znacznej części dawne ziemie chłopskie, zagrabione przez szlachtę. Pańszczyzna nie znała wzajemności świadczeń, co więcej, była zaprzeczeniem tej zasady, była instytucją społeczeństwa, opartego na nagim przymusie i panowaniu, instytucją społeczeństwa feodalnego; szczególnie bujnie rozkwita ona tam, gdzie feodalizm uległ rozkładowi pod wpływem wielkiej plantatorskiej gospodarki folwarcznej, gdzie gospodarka obliczona na własne potrzeby dworu ustępuje miejsca gospodarce na rynek, wielkiej produkcji towarowej, co nieuchronnie prowadzi do spotęgowania wszystkich środków przymusu i gwałtu, do zaostrzenia ucisku bezpośrednich producentów. Przymus był istotą pańszczyzny, nie wzajemność świadczeń. Przymusu tego nie mogło oczywiście starczyć na długo. Katastrofalna sytuacja rolnictwa polskiego świadczyła aż nadto wyraźnie, że najwyższy czas rozluźnić ucisk, zerwać z przymusową formą pracy.

Proces odchodzenia od przymusu, jako jedynego regulatora stosunków między bezpośrednimi producentami a właścicielami warunków produkcji, odbywa się w Polsce w sposób bardzo skomplikowany i pełny sprzeczności. Jednym z objawów tego procesu było rozszerzanie się form pracy opartych na uwzględnieniu momentu wzajemności świadczeń, na wprowadzeniu pewnych wzajemnych świadczeń dworu wzamian za robociznę chłopów. Różnemi drogami rozszerzały się te stosunki oparte na wzajemności świadczeń. Wyodrębnimy spośród nich dwie, najbardziej typowe. Pierwszą były najmy przymusowe, drugą — różnorakie formy odrobku, które rozwinęły się znacznie silniej aniżeli najmy przymusowe. Wszystkim formom odrobku wspólne było to, że chłop zobowiązywał się, wzamian za pewne świadczenia dworu, do powinności większych niż zwykła tradycyjna pańszczyzna.

Od zwykłej, tradycyjnej pańszczyzny różni się stosunek ten zupełnie wyraźnie. Chłop nie miał żadnego wpływu na wielkość powinności pańszczyźnianych i na stosunek ich do korzyści osiąganych z nadziału

Pańszczyzna była następstwem przymusu, jednostronnej woli dworu. Tu zaś w instytucji odrobku, mamy do czynienia z pewną formą układu, w której mniej czy bardziej dokładnie określano, co daje dwór i co wzamian za to daje chłop. Z tej formalnej różnicy płyną ogromne konsekwencje dla treści stosunku odrobkowego. Tu chłop rzeczywiście coś dostawał za swą pracę. Tu mogły się utrwalać jakie takie proporcje w wymianie usług. Tu chłop mógł (przynajmniej w teorji) zerwać stosunek niekorzystny, co było wykluczone, jeśli chodzi o pańszczyznę, chyba, że zerwanie z nią było związane z ucieczką ze wsi. Odrobek zapewniał jaką taką określoność i wzajemność usług. A choć odrobek był daleki od wymiany ekwiwalentów, choć określoność i wzajemność świadczeń była różna, zależna od stopnia siły ekonomicznej reprezentowanej przez obie strony, to jednak zasada była wyraźna i różnica w porównaniu z pańszczyzną — istotna.

Wszystko to sprawia, że odrobek nie może być utożsamiony z pańszczyzną; odrobek jest instytucją półpańszczyźnianą; drugą swą połową tkwi on już w stosunkach, opartych na wolnej umowie, na wzajemności świadczeń. Jest przez to formą przejściową od pańszczyzny do najemnictwa.

Trudność analizy omawianego zagadnienia polega na tem, że odrobek był ściśle związany i spleciony ze zwykłą, tradycyjną pańszczyzną. Ten sam chłop, temi samemi narzędziami, na tem samem polu pańskiem, odrabiał zarówno pańszczyznę, jak i odrobek. Ale odrabiając pańszczyznę, reprezentuje jeden stosunek społeczny, odrabiając zaś pewne świadczenia, czyli pracując jako odrobkowiec, reprezentuje drugi stosunek społeczny. Pierwszy mieści się jeszcze całkowicie w ramach feodalno-pańszczyźnianych, drugi już poza nie wykracza. Pierwszy wskazuje jeszcze na „wczoraj“ rolnictwa polskiego, gdy drugi wskazuje już wyraźnie na „jutro“, sięgając w dziedzinę wolnych stosunków społecznych. Różnicę tę nie zawsze można ujawnić w praktyce życia wsi. Ale mimo wszystko — różnica to bardzo istotna, choć zarazem bardzo subtelna, i pominięcie jej wypaczyłoby obraz rzeczywistości, uniemożliwiłoby zrozumienie procesów rozgrywających się w rolnictwie polskiem.

Przejściowe te formy od pańszczyzny do najemnictwa, były bardzo różnorodne, łączyły w sobie w rozmaitym stopniu element przymusu i element swobody. Wszystkim im jednak wspólne było to, że stanowią one postępowe formy w porównaniu z pańszczyzną, że umożliwiały większe zintensyfikowanie pracy i wzrost jej wydajności. W rozpowszechnieniu się tych form przejściowych należy szukać źródeł postępu w rolnictwie. Te właśnie przejściowe formy pracy umożliwiły wzrost produkcji rolnej, stały się podstawą zjawisk postępu rolnictwa w drugiej połowie XVIII w. Pańszczyzna doprowadziła rolnictwo polskie do ruiny. W miarę rozpowszechniania się form przejściowych, reprezentujących wyższe, bardziej postępowe formy pracy, rolnictwo polskie dźwiga się z upadku. Postęp w rolnictwie dokonywa się o tyle, o ile obok pańszczyzny i w przeciwstawieniu do niej, zaczynają być stosowane i inne, niepańszczyźniane formy pracy, będące przejściem do wolno-najemnej, kapitalistycznej pracy w rolnictwie.

[1]) Fragment pracy p. t. „Rolnictwo polskie u schyłku XVIII w.“

LIRYKA BRONIEWSKIEGO*)

Liryka Broniewskiego na tle szczególnych okoliczności i warunków naszego życia zbiorowego ma swoisty charakter i oblicze. Broniewski nie rozszczepia włoska wzruszenia estetycznego na czworo, nie rozwidla łożyska strumienia lirycznego, by osłabić siłę i napięcie podziemnego nurtu, cały natomiast nabój dynamitowy uczuciowej ekstazy czy uniesienia wyładowuje w upatrzonym kierunku, nadając mu dzięki temu druzgocącą siłę wyrazu.

Co traci na głębi czy rozlewności lirycznej refleksji, zyskuje na sile i napięciu uczuciowego rozmachu.

Dzięki temu właśnie sądzono mu odegrać w naszych czasach — dość subtelnych, lecz jałowych refleksyj, bezwładu i chwiejności — odpowiedzialną i zaszczytną rolę „podpalacza serc“ i „dynamitarda sumień“.

Poezja jego wznosi gmachy strzeliste z brył nieociosanych i cyklopowych głazów, bezkształtnych, często w minjaturowym sensie, lecz wymownych i zgeometryzowanych w monumentalnych zarysach.

Liryka Broniewskiego po klęsce i rozgromie lat ostatnich pozostała na placu jako nieodparte świadectwo tych głębokich przemian społecznych, które się odbywają, niezależnie od oficjalnego biuletynu ładu i spokoju, krzepiącego serca ludzi zacnych i statecznych.

Poeta stał się wskaźnikiem tej utajojonej pulsacji sumienia społecznego, którego nie da się zakłamać, zagadać, wyinaczyć.

A stwierdzić trzeba, że w obecnej chwili Broniewski zajmuje niemal straceńczo-donkichoteryjne stanowisko człowieka, który nie znajduje oparcia w żadnej grupie, stronnictwie czy partji.

Niema w tej chwili w Polsce ani jednej grupy społecznej, któraby miała świadomą dróg swoich i celów wolę rewolucyjną.

Poezji jedynie przypadł w udziale honor utrzymania sztandaru wewnętrznej aktywności mas robotniczych, ich woli, decyzji i determinacji.

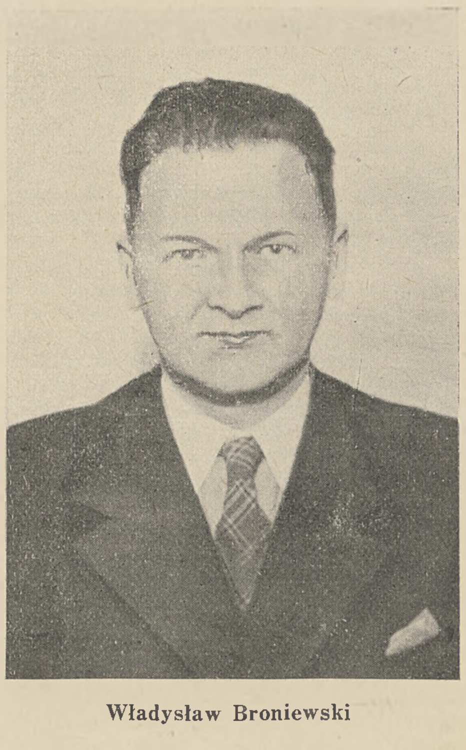
Broniewski w całej swojej twórczości jest chorążym godności, dumy i woli rewolucyjnej proletarjatu polskiego, wtajemniczonym w pulsację jego podziemnej męki, rytmikę jego bijącego serca i zasięg jego światoburczej woli.

W oczach poety losy rodzimego podwóreczka scalają się z tragedją męki porodowej otaczającego świata w jeden obraz, pełen apokaliptycznej grozy i kosmicznego patosu:

„Dzień głodu, ognia, powietrza i wojny
z dziejowej rodzi się nocy.
Oto wołam jak dawni prorocy,
poeta w sercu swem wolny.

Głos mój — głos wiela wód,
kiedy nadciąga zagłada.
Pędzą Czterej na zachód i wschód.
Biada! Biada! Biada!“.

W Broniewskim, w przeciwstawieniu do wielu innych poetów, kultywujących tematykę społeczną, niema wcale tego mdłego, ckliwego pacyfizmu, rozbrzmiewającego np. w histerycznych pokrzykach Tuwima z wiersza „Do prostego człowieka“.



Władysław Broniewski

Tak sabotażowo pojęty pacyfizm utorował drogę wszystkim zwycięstwom teraźniejszym hitleryzmu i faszyzmu.

W przeciwstawieniu do tej obezwładniającej propagandy mdlizny wewnętrznej i bezwoli Broniewski wczuwa się w patos dziejowego wysiłku „Twardych rąk“ i żylastych ramion.

„Cześć i dynamit“, „No pasaran!“ — to formuły hieratycznej przysięgi, składanej przez ginących, waleta pokonanych dla przyszłych zwycięzców.

Jest w Broniewskim surowa powaga i hart żołnierski, obcy wszelkiemu rozkuciu wewnętrznemu i rezygnacji. Gdy „człowiek prosty“ Tuwima w spazmatycznym proteście i bezradnej furji rzuca broń pod nogi tym, co będą wiedzieli, jak jej użyć, Broniewski z dumą i rozrzewnieniem wspomina swojego „Mannlichera“ i padłych towarzyszy:

„Cóż im wyznać w serdecznem słowie,
gdy się młodość jak cmentarz przyśni?...
Nie głaskało mnie życie po głowie,
nie doszedłem tam, dokąd szliśmy,

ale idę jak żołnierz dalej,
inny, dalszy, trudniejszy cel mam,
i jak stary mannlicher wali
wiersz mój gniewny — broń szybko-
(strzelna“.

W obecnych warunkach życia postawa wewnętrzna poety jemu samemu wydaje się chwilami niemal niewczesna, w buncie więc przeciw zmorze otaczającego życia pogrąża się w dekadenckich nastrojach „Baru Pod zdechłym psem“.

W głębinowych pokładach jednak świadomości odbywa się mozolna i nieustanna praca, rozbrzmiewa łoskot odbywających się w ciszy i zadumie przemian, ku którym wychyla się i pręży dźwignia obezwładnionych chwilowo ramion żołnierza i pióra poety:

„Cisza w sercu. Jakże ją łatwo
spłoszyć lub zatruć.
Weź tę chwilę w dłonie, jak światło,
osłoń od wiatru“.

Poezja Broniewskiego mimo pozorów samotnictwa i izolazji jest w obecnej chwili dziejowej jednym z najbardziej tragicznych „krzyków“ po nocy, świadczącym o życiu i pulsacji podskórnej organizmu społecznego, o wzbierającej woli zbiorowej mas, dojrzałych do wytknięcia dróg dziejom.

Jan N. Miller

*) Władysław Broniewski. Krzyk ostateczny. Warszawa, J. Mortkowicz, 1938; str. 45 i 3 nl.

Wśród nowych powieści

Gustawa Jarecka. Ludzie i sztandary. Powieść. I. Ojcowie. Warszawa, J. Przeworski 1938; str. 314 i 6 nl. — II. **Zwycięskie pokolenie.** Warszawa, J. Przeworski, 1939; str. 411 i 3 nl. — **Adolf Fierla. Kamień w polu.** Czeski Cieszyn, Śląski Związek Literacko-Artystyczny, 1938; str. 157 i 3 nl. — **Józef Tell. Eksperyment.** Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 191 i 1 nl.

Dwa pierwsze tomy cyklu **Gustawy Jareckiej** zapowiadają osiągnięcie twórcze, które powinno przetrwać i przejść do historji literatury, jako jedno z lepszych dotychczas dzieł, związanych tematycznie z odzyskaniem niepodległości.

Jarecka ten wielki temat potraktowała z umiarem i taktem rasowego artysty. Programowo wysuwając na czoło zagadnienia ideologiczne uniknęła ona jednak balastu papierowości, nie poszła częstą drogą wyodrębnienia problemów w specjalnych dysputach postaci powieściowych, natomiast potrafiła wykazać, jak się rodzą programy i idee z konkretnego życia, jak są nieodłączne od warunków bytu i jak skolei potrafią byt ten kształtować według swojej własnej teleologji.

„Ludzie i sztandary", jak dotąd, obejmują okres pierwszych lat 18-u bieżącego stulecia, drugi tom urywa się w listopadzie 1918 r. Przeżywamy te decydujące o losach Polski lata razem z kilku bohaterami, któ-



Gustawa Jarecka

rych koleje życiowe biegną równolegle, zrzadka się jedynie stykając i nie krzyżując się w węzły akcji powieściowej. Stary pepeswiec, Michał Łobziński, jego syn Leon, robotnik, później legjonista, Henryk Pilewicz, czołowy działacz Frakcji Rewolucyjnej, Marjetka Krzeptowska, jego krótkotrwała kochanka, żona niewysokiego urzędnika, endeka i tradycjonalisty — te cztery postaci decydują o ogólnym toku fabuły, ich koleje życiowe tworzą zrąb kompozycyjny pierwszych dwu tomów cyklu.

Osobną grupę postaci tworzą dzieci: Maniek Żelazko, syn zmarłego w katordze bojowca, Tolek i Maniek, jego przyrodni bracia, Jurek i Karusia, dzieci Marjetki.

Trzeba przyznać jednak, że Jarecka nie jest (jak narazie) specjalistką od charakterologji. Jej kreacje w tej dziedzinie naogół biorąc ustępują np. postaciom z cyklu Górskiej. Nie potrafiła ona (czy może nie chciała) podkreślić głównych motorów życiowych tego czy innego człowieka tak zwięźle i plastycznie, jak autorka „Ucieczek". Jarecka kładzie nacisk raczej na przeżycia ogólniejsze, na cechy wspólne większym gromadom ludzi, cieniując je tylko w zależności od tego czy innego kontekstu socjalnego danej postaci. Jest ona w tej dziedzinie uczenicą Żeromskiego.

Przeprowadzenie analogji między Jarecką a Żeromskim mogłoby wykazać sporo symptomów rozwoju polskiej literatury w ostatniem dwudziestoleciu. Nie zawsze, rzecz prosta, rozwój ten oznacza postęp. Warto tu wspomnieć o paru momentach, nasuwających się na pierwszy rzut oka.

Proletarjat jako tworzywo sztuki. Prus sięgał do tej warstwy społecznej często i trafnie, były to jednak wycieczki do egzotycznej krainy, mające za zadanie frapowanie mieszczańskiego odbiorcy obcemi mu formami życia i budzenie różnego rodzaju „uczuć poprawczych" z litością na czele. Żeromski nie sięgał tak daleko, jego sfera zainteresowań, zgrubsza biorąc, ograniczała się do rewolucyjnej inteligencji i kontrastującego z nią ziemiaństwa. Dopiero Strug wprowadził robotnika do powieści polskiej i nadał mu pełne prawa obywatelstwa powieściowego, ale i jego robotnik był postacią uromantyzowaną, przystrojoną w nimb bohaterstwa, był to robotnik od święta, nie na codzień.

Otóż przeszliśmy od Struga taki kawał historji literatury, że spotykając w powieści życie robotnika nie wyczuwamy no-wości tych motywów. Robotnik należy dziś do literatury (rzecz prosta, do jej skrzydła postępowego) nie tylko jako „poniżony brat" Prusa, nie tylko jako objekt walki o sprawiedliwość społeczną, jak u Żeromskiego, nie tylko wreszcie jako bohaterski bojownik o wolność, jak u Struga, ale także poprostu, jako człowiek z krwi i kości, człowiek dobra i zła, bohaterstwa i tchórzostwa, wielkości i codzienności.

Powieść Jareckiej jest symptomem tych istotnych przemian naszej literatury. Rzecz prosta, między Strugiem a Jarecką cały szereg pisarzy oddał swoje talenta na przebycie tej niełatwej, a niezbędnej drogi. Jarecka dziś jest na tym jej odcinku, gdy chwilami się zdaje, że role się odwróciły. Czasem traktuje ona swoich inteligenckich bohaterów, Pilewicza i Krzeptowskich, tak jak Prus traktował Michałka czy Antka: podkreślając przedewszystkiem ich egzotyczność na tle proletarjackiego otoczenia.

Długo i niezbyt przedmiotowo dyskutowano w swoim czasie na temat literatury proletarjackiej. Jarecka wykazała, że droga do tej literatury jest i że daleko na niej zajść można nie tracąc nic ani z szerokiej czytelności utworu, ani z jego dostojeństwa artystycznego.

Gorycz zwycięstwa. Żeromski w „Przedwiośniu" zaledwie to przeczuł. Większość pisarzy pierwszego dwudziestolecia niepodległości zachłysnęła się innemi popędami. Zjawisko, jedno z najtragiczniejszych w dolі ludzkiej, niezależnie od jakichkolwiek akcydentów, samo w sobie mające dosyć wagi, by stanąć w jednym szeregu z takiemi zrębami wszelkiej sztuki, jak miłość i śmierć, w naszej twórczości minęło niezauważone, nieodcyfrowane, niepojęte. A przecież któżby mógł więcej powiedzieć o **tragizmie spełnienia**, jeśli nie naród stopiędziesiąt lat hodujący ideał, którego ucieleśnienia jesteśmy wszyscy świadkami. Nie chodzi tu o rozpiętość między „marzeniami" a „rzeczywistością", nie chodzi o to, że się stało wszystko inaczej, niż to sobie wyobrażało, bo rozpiętość (taka czy inna) w takim wypadku zawsze będzie i być musi.

Sama naga konstrukcja losu ludzi, którzy poświęciwszy siebie dla zdobycia pewnego celu, nazajutrz po zwycięstwie dostrzegają, że niema racji dalszy ich byt na ziemi, ma dosyć mocy, by niedostrzeżenie jej przez pisarzy nie mogło nie wywoływać zdziwienia i smutku. Jarecka zdaje się kontynuować myśli niedopowiedziane w „Przedwiośniu", dwa pierwsze tomy jej cyklu mogłyby być dobrą podstawą dla osiągnięcia tego tematu.

Jeśli chodzi o charakterystykę możliwości pisarskich Jareckiej, to na pierwszy plan wysuwa się jej umiejętność władania specyficznym językiem powieściowym, językiem fabuły. Jest ona rasowym powieściopisarzem, tak jak potrafiła oddać światopoglądy polityczne bohaterów, nie uciekając się do sztucznych dygresyj i dysput, poprostu przez odpowiedni koloryt życia fabularnego nosicieli tego czy innego „sztandaru", tak zdarzenia historycznego, wstrząsające wybranym przez nią odcinkiem życia Warszawy pokazała odbiorcy bez patosu czynów osób decydujących o historji, bez historycznych referatów, samem życiem swoich zwyczajnych, codziennych bohaterów.

To świadome ograniczenie zasięgu fabuły tworzy z „Ludzi i sztandarów" odrębny i swoisty rodzaj powieści historycznej. Największą zdobyczą Jareckiej jest to, że eliminacja postaci historycznych i łatwych skądinąd efektów opisu wielkich zdarzeń nie zubożyła powieści, nie obniżyła jej atrakcyjności. „Ludzie i sztandary" nic wspólnego nie mają z dzisiejszym „nudyzmem", naodwrót przyciągają odbiorcę i utrzymują przy sobie.

Streszczając zarzuty, należy wspomnieć przedewszystkiem o zbytniej rozlewności kompozycyjnej. Nie opierając swej książki na określonych podstawach fabularnych (historja np. danego rodu czy rodziny), łatwo się może Jarecka zagubić w materjale i stracić właściwy rytm powieściowy. Jak już wspomniałem, postaci nie zawsze są zindywidualizowane, sceny zbiorowe zaś, obrazy i pejzaże nie odznaczają się silną plastyką. Składnia chwilami razi, dotyczy to zwłaszcza sienkiewiczowskiej maniery nadużywania spójnika „tedy".

Opowiadania **Fierli** należą do tej kategorji literackiej, której wielkim protoplastą było „Na skalnem Podhalu". Południowo-zachodni kąt Polski obfituje w takich regjonalnych Tetmajerów: koło Olkusza mieszczą się włości Jana Waśniewskiego, Śląsk Górny jest domeną Gustawa Morcinka, Fierla obrał sobie Śląsk Zaolziański, który zresztą, jeśli chodzi o książkę omawianą, nazywał się jeszcze czeskim Śląskiem Cieszyńskim.

Trzeba przyznać, że ci, tak liczni, dzisiejsi książęta udzielni Śląska i okolic nie zawsze prezentują się równie okazale. Fierla należy raczej do pośledniejszej warstwy pisarzy, daleko mu i do Morcinka i do Waśniewskiego.

„Kamień w polu" zawiera około dziesięciu opowiadań, pisanych gwarą lokalną. Trudno stwierdzić, w jakim stopniu autor dochował jej wierności, w każdym razie jest ona bodaj czy nie najsilniejszym akcentem regjonalnym książki. Wszystko inne: postaci, ich byt, zdarzenia itp. nie różnią się niczem zasadniczem od swoich krewniaków z przed Olzy. Cenzura czeska sprawiła zapewne, że książka Fierli ani jednem bodaj słowem nie potrąca o kwestje polityczne i narodowościowe.

Wadą zasadniczą „Kamienia w polu" jest jego literackość. Pod tym względem daleko Fierli np. do jego sąsiada, Jana Waśniewskiego. Jeśli u tego czasem tylko można było znaleźć jakiś rażąco książkowy passus w nieodpowiednim kontekście, to Fierla pozwala sobie na całe strony stylizowanych fałszywych opisów, rozważań autorskich i refleksyj postaci. Surowe i wstrząsające fakty z życia górników są często u niego osłodzone kiepską „psychologją", rozwodnione i mdłe. Czuć, że to książka pisana przez inteligenta dla inteligentów, a inteligent, który ją pisał, jeszcze nie jest pisarzem.

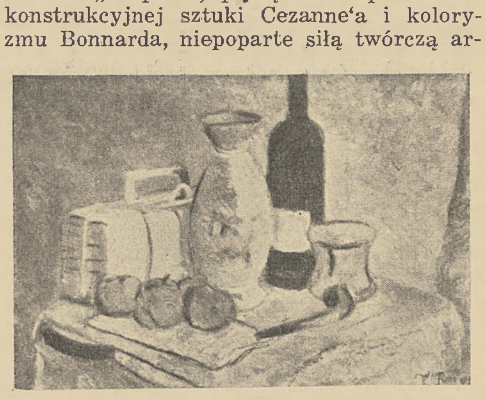
Symbolika opowiadania tytułowego (chłop, który broni swego kawałka pola przed żużlem, sypiącym się z hałdy fabrycznej) jest dziś nieaktualna i szkodliwa. Jeśli na czeskim Śląsku Cieszyńskim możnaby znaczenie jej przedłużyć, aż do czeskości, która przemysłem i techniką dusiła zacofany, rolniczy żywioł polski, to na Śląsku Zaolziańskim te przedłużenia myślowe nic nie znaczą, a samo opowiadanie trafia w próżnię.

Książka **Tella** jest powieścią fantastyczną. Jest rzeczą charakterystyczną, że literatura polska nie wyhodowała dotychczas ani jednego wybitnego powieściopisarza - fantastyka. Sądząc z „Eksperymentu", Tell tego stanu rzeczy nie zmieni. Brak mu mocnej wyobraźni, konkretnych i obszernych wiadomości naukowych, wreszcie wyrobienia i zdolności pisarskich. „Eksperyment" w swoich najlepszych momentach nie przekracza poziomu przyzwoitego oleodruku, ale i tych momentów w książce nie jest za wiele.

Jerzy Putrament

Artyści lwowscy w I. P. S.ie

Grupa artystów lwowskich „Zespół" reprezentuje malarstwo, pozostające pod silnym wpływem postimpresjonizmu. Są to jednak sugestje postimpresjonizmu eklektycznego, pozbawionego świeżych odkrywczych wartości i pasożytującego na dawno przez innych zdobytych pozycjach. Malarstwo „Zespołu" stoi napozór pod znakiem koloru. Napozór — gdyż artyści tej grupy operują demonstracyjnie farbą, która bynajmniej sama przez się nie jest jeszcze jednoznaczna z barwą. „Zespół" (z wyjątkiem Radnickiego) uprasza zagadnienie barwy, podaje bowiem gotową, schematyczną namiastkę koloru, traktując go jako element przypadkowej, zmiennej gry światła, które nie buduje, lecz — przeciwnie — rozbija formę i kompozycję malarską. Kolor, który w sztuce wielkich postimpresjonistów był zasadniczym i wyłącznym czynnikiem architektoniki obrazu, określającym formę i kształt rzeczy, niezależnie zarówno od lokalnej barwy przedmiotu, jak też od kapryśnego dywizjonizmu — stał się dla „Zespołu" wygodnym środkiem do uzyskania powierzchownych efektów i łatwych smaczków. Słusznie w zasadzie teoretyczne założenia „Zespołu", płynące z przesłanek konstrukcyjnej sztuki Cezanne'a i koloryzmu Bonnarda, niepoparte siłą twórczą ar-



Zygmunt Radnicki: Martwa natura

tystycznej realizacji, sprawiają, że niemal cała wystawa wywiera wrażenie pretensjonalnego, trącącego akademickiem nowatorstwem popisu. Jedyną w „Zespole" interesującą, dojrzałą indywidualnością malarską jest **Zygmunt Radnicki**, który posiada zro-



Henryk Streng: Muzykanci

zumienie dla problemu konkretnej, zdecydowanej formy, zamkniętej kolorem oraz zmysł syntezy. Wprawdzie dostrzegamy w poszczególnych pracach artysty surowe jeszcze i niezbyt konsekwentnie przemyślane partje, niemniej jednak nawet w jego ostrych, jadowitych opozycjach widać pasję uczciwego pogłębiania i szukania kolorytu, pojętego jako budulec malarskiej płaszczyzny. Znacznie ciekawsze są eksponaty artystów lwowskich nie należących do „Zespołu". O znakomitych pracach Henryka Strenga napiszę następnym razem z okazji zbiorowej wystawy artysty w Żydowskiem Towarzystwie Krzewienia Sztuki. Nieprzeciętną wrażliwość i świeżość kolorystyczną oraz oryginalną koncepcję malarską ujawnia **Jerzy Janisch** (gwasze i akwarele). **Marja Wodzicka** usiłuje przezwyciężyć wpływy Matisse'a; artystka posługuje się w „martwych naturach" czystemi kolorami, które śmiało kontrastuje, podkreśla przytem ciężar i konsystencję oleju, wreszcie **Leon Chwistek** w kilku mikroskopijnych akwarelach („Corso", „Rynek w Jaśle", „Dancing") zdobywa się nieoczekiwanie na całkiem trafne, a nawet zastanawiające zestawienia barwne. Mam oczywiście na myśli te prace, w których Chwistek zbliża się do „infantylnej" groteski, zapominając na chwilę o swym manjackim „strefizmie". Spośród skromnej grafiki lwowskiej korzystnie wyróżniają się nieomylnym rysunkiem, różnorodnością środków technicznych, znajomością wątku, niebanalnemi światło-cieniami i liryczną poetycką ekspresją prace **Ludwika Tyrowicza.**

Leon Strakun

LIRYKOM

KOŁYSANKA

Jak to miło na łące
zbierać kwiaty pachnące.

Kiedy kwiatów się szuka
serce wierszyk ci stuka
(puk, puk).

Jakaś ptaszka spod słonka
śpiewa arję skowronka.

Słońce w wodzie się pali.
Coś tam szumi w oddali.
(Turkot kół? Tupot nóg?)

Wiatr przyjemny do ucha
małą piosnkę nadmuchał.
Teraz połóż się w trawie nawznak.

Na błękicie — obłoki.
Spójrz na świat jasno-oki.
(Turkot kół? Tupot nóg? Łopot flag?)

Ciepłe letnie południe.
(Czy to kroki tak dudnią?
Turkot kół? Tupot nóg? Łopot flag? Stu-
[kot butów?)

Ach, pomarzyłbyś mógł...
(Cisza — stuk, cisza — stuk...
Turkot kół? Tupot nóg? Łopot flag? Stu-
[kot butów o bruk?)

Tak leniwie się drzemie...

W dali huczy po ziemi
turkot kół, tupot nóg,
stukot butów o bruk.
Biją, biją bruk buty podkute.

(Zamknij oczy i zaśnij!)

Coraz bliżej, wyraźniej...
Ziemia dudni i huczy,
but podkuty w nią tłucze.
Nic nie ujdzie spod nóg!
Wotan kreśli marszrutę.
Już bez traktów, bez dróg
idą buty podkute!...
Już się z ciszy wynurza
pochód butów jak burza!!...

. . . .

A na łączce, na łące
sen tak czule otula.
Kwitną kwiaty pachnące.
Lulaj, miły mój, lulaj.

Leonid Fokszański

SPROSTOWANIE

W moim przekładzie fragmentu Jules Romainsa „Niemiecki rewolucjonista" („Sygnały, nr. 65) znalazły się dwa błędy:

1) w szpalcie 3, wiersz 4 odgóry, zamiast: „prusцy rodacy", powinno być: „**pańscy rodacy**";

2) w tejże szpalcie, wiersz 53 odgóry, zamiast: „Gdyby przywódcy socjal-demokracji zbadali", powinno być: „**Gdy przywódcy socjal-demokracji zbadali**".

Wacław Rogowicz

RZECZY NAGRODZONE

Na gruncie ukraińskim w Polsce istnieją obecnie dwie nagrody literackie, obie, zdaje się, ideologiczne: **Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy** („Topiż“) i **Ukraińskiego Związku Katolickiego** (U.K.S.). U.K.S. wyraża to zasadniczo: „Bierzemy pod uwagę utwory, które wnoszą wartości pozytywne ze stanowiska chrześcjańskiego i narodowego“. Wartości negatywne ze stanowiska chrześcjańskiego oraz wartości pozytywne, wnoszone z innych stanowisk (— są i takie —) pozostawia U.K.S. bez uwagi. „Topiż“ nie wypowiada się w tej sprawie, ale także — o ile się nie mylę — nagradza tylko utwory „w duchu narodowym“. (Głos z „Topiżu“: „Nie, nie myli się pan!“).

*

Aby mieć odpowiednią perspektywę: czołowe nagrody tych instytucyj przypominają w przybliżeniu nagrodę młodych P. A. L.-u, a raczej nieco mniej.

Za rok miniony nie przyznano nagrody pierwszej nikomu, U.K.S. zaznacza tylko, że „za największe wydarzenie literackie 1938 r. uważa zakończenie trylogji **Ułasa Samczuka** p. t. **„Wołyń“** (trzeci tom p. t. **„Ojciec i syn“**), jednak ze względu na niektóre, nieliczne zresztą, fragmenty w trzecim tomie nagrody temu utworowi przyznać nie mógł“... Przypuszczam — fragmenty „negatywne ze stanowiska“... Trylogja Samczuka zasługuje na osobne omówienie, również na gruncie polskim, gdzie opinja literacka uległa wobec niej pewnej niewinnej, (gdyż nieświadomej), pełnej szczerego entuzjazmu mistyfikacji artystycznej — pióra Ksawerego Pruszyńskiego.

Inne wyróżnienia za rok miniony wyglądają tak:

w U.K.S.: drugą nagrodę rozdzielono między zbiorek wierszy **Jurija Łypy** p. t. **„Wierzę“** i opowiadania **Iwana Kiernyckiego: „Mój świat“**; trzecią nagrodę przyznano opowiadaniom **Wasyla Koroliwa-Starego: „Samarytanin miłosierny“.**

W „ Topiżu“: drugą nagrodę otrzymała powieść **Darji Jarosławskiej: „Piołun pod nogami“**; trzecią zbiorek wierszy poety zakarpackiego **Iwana Kołosa: „Dni moje młode“.**

Prócz tego wyróżniono tutaj poza nagrodami opowiadania **Kiernyckiego: „Mój świat“** oraz poemat liryczny **Światosława Hordyńskiego: „Snowidów“.**

*

By rozpocząć od końca:

„Wo wkusach nie sporiat...“. Doznania i wypowiedzi estetyczne mają charakter absolutny. Jeśli ktoś percypuje Nat-Pinkertona z płonącemi oczyma, cóż w tem zmienisz? Mimo to: jakże to się stało, że na szarym (najszarszym) końcu kolejki rzeczy nagrodzonych znajdujemy poemat liryczny **Hordyńskiego „Snowidów“**: jedyną rzecz w tej kolejce, która — na mój smak — mogłaby się ubiegać o nagrodę w nieco bogatszych, np. polskich stosunkach literackich; i może ubiegłaby niektóre, zdążając do mety na swym „Pegazie, okrytym pianą i wściekle gryzącym wędzidła słów...“.

Uniknijmy nieporozumienia: nie jest to poemat tak bardzo wigorzysty, jakby to nam nasuwał ów obrazek z niego zaczerpnięty, pachnący gorzkim potem końskim (poetyckim też); wcale nie jest wigorzysty. Hordynśkyj ma w swej twórczości inne rzeczy, robione w sensie wigoru (i te mniej mi przemawiają do przekonania, gdyż — by pozostać w granicach powonienia — niekiedy pachną obcym potem poetyckim), ale nie o nie mi tutaj chodzi. **„Snowidów“** jest inny.

Jest to poemat o bardzo własnem obliczu i o powabie bardzo własnym. Gdy pytam siebie, co właśnie rozstrzyga w nim o tem obliczu i o powabie, mam w odpowiedzi wrażenie, że czyni to jego wyszukana, a jednak niezwykle naturalna i bardzo „ludzka“ dwuplanowość: że przebiega on od oktawy do oktawy: po pierwsze — w płaszczyźnie nawpół humorystycznego pokazu rzemiosła poetyckiego („jak to się robi“), po drugie — w płaszczyźnie nastrojów własnych poety w obliczu letnich pól, rzeki w głębokim jarze, letniego nieba zorzanego i przedjesiennego dojrzewania, („jak tamto się przeżywa“).

Otwiera się poemat pokazem szlachetnego rzemiosła poetyckiego, łagodnie uszczypliwym, dowcipnym, subtelnie pogłębionym, gdy chodzi o obronę liryki jako poezji wzruszeń drobnych i mijających ostrużyn natchnień, marzeń i snów zamilkłych. W tej płaszczyźnie pozostaje on wzdłuż części pierwszej i sześciu oktaw części drugiej, potem przenosi się w płaszczyznę nastrojów własnych poety i trwa w niej w dalszych oktawach części drugiej (poeta w obliczu pól), w całej części trzeciej (w obliczu rzeki w jarze), czwartej (w obliczu nieba i gwiazd) i w szesnastu oktawach części końcowej (w obliczu dojrzewania przedjesiennego). Zamyka się zaś nowym pokazem rzemiosła szlachetnego, tworząc w ten sposób zupełne koło kompozycyjne, słusznie odpowiadające neoklasycznej postawie poety.

Gdy mowa o trwaniu poematu w jednej płaszczyźnie: niema ciągłości w takiem trwaniu. Uświadamiam to sobie obecnie jasno: osobliwy powab **„Snowidowa“** leży we wzajemnej grze obydwu płaszczyzn względem siebie: w tem mianowicie, że już w pokazie rzemiosła poetyckiego wyczuwamy podskórne narastanie nastroju, który wyłoni się wkrótce jako właściwe tworzywo poematu; i że płynąc potem po ruchliwej fali tego nastroju, wyczuwamy ciągle obecny, choć utajony ruch „fali“ pierwszej, pokazowej; że fala ta gra już w nas podczas „nastrojów“ i nigdy nie jesteśmy spokojni o to, czy nie wyłoni się nieoczekiwanie i nieco paradoksalnie (wyłoni się, to pewne) i przetnie powierzchnię nastroju i bryźnie nam w oblicze kroplami chłodnego przebudzenia — i orzeźwienia (— „to przecież tylko robię!“)... Gdy bryzgnięć tych jest za dużo, są za częste — jak np. w części drugiej — cierpi na tem płaszczyzna nastrojów (— nie igra się z nastrojami —), a wyniki doznaniowe mijają się z zamierzeniami autora...

Istnieje natomiast odcinek „Snowidowa“, w którym obie płaszczyzny splatają się kompozycyjnie w jedną: gdy w obliczu nieskończoności wieczornych niebios, mrugających gwiazdami, fala nastroju wznosi się tak wysoko, że szlachetne rzemiosło poetyckie właśnie tylko nadąża za nią; że na igranie niema tchu; że gra tylko struna duszy, rozpięta między gwiazdami, jak ognista droga meteoru.

W tej właśnie części poematu, w trzech jej oktawach kładzie poeta pomniczek żywy innemu mistrzowi w rzemiośle poetyckiem, największemu z pokolenia młodych poetów zachodnio-ukraińskich, przedwcześnie zgasłemu Bohdanowi Antonyczowi; w trzech ciepło drgających strofach, najbardziej wzruszających w całym „Snowidowie“, najzupełniej wzruszających po ludzku i artystycznie: o poecie, co nosił monety gwiazd, jak chłopak guziki, w kieszeniach i kupował za nie po nocach chwile słodkiego natchnienia; o poecie, co w białych rękawiczkach, z kwiatami na czarnem ubraniu odszedł, nie dokończywszy swych poematów, szczęśliwcom innym pozostawiwszy świat — i kędziory — i kwiat paproci; co ubrał pierścień śmierci i odszedł, by udowodnić niezniszczalność materji...

Że też i w ten pomniczek wplata poeta zieloną gałązkę swego humoru, — co o tem powiecie?...

Najdojrzalsze osiągnięcie poetyckie w twórczości Hordyńskiego: owych szesnaście oktaw części końcowej, w obliczu dojrzałości przedjesiennej: szesnaście wielkich metafor, płynących jak świeży a mocny miód pszczelny, w którym się trzepocą barwne motyle słów, uchwyconych za nóżki; strof najprawdziwiej pachnących Rylskim — nie w sensie zarzutu, lecz komplementu...

Gdyby żył Antonycz, zapłaciłby za nie monetami gwiazd, których miał ciągle pełne kieszenie. I byłoby to słuszne...

*

Świeża, łatwa w spożyciu, dosyć łagodna i ludzka, choć trochę ironicznie uśmiechnięta jest rzecz **Darji Jarosławskiej: „Piołun pod nogami“**. Jest w tem podobna do współczesnego świata dziewczęcego z inteligencji drobnomieszczańskiej, bo też o nim jest opowieścią. Ironja jej nie zapuszcza się wgłąb (może i nie chce, bo i poco?), ludzkość jest w ten sposób ograniczona, że nieco pod nią już znajduje się świat robotników w uzdrowisku, a nieco nad nią już pan dziedzic z Horników, dr. Mukowski. O tyle nad nią, że gdy powstaje miłość do niego, to prawie że platoniczna, trochę cierpiąca, bezwładna, jak kwiat niesiony falą, trochę uśmiechnięta, gorzkawo i ironicznie. Miłość, która nie idzie wgłąb (może i nie chce, bo i poco?)...

Cała ta rzecz przebiega raczej powierzchniowo, także w kompozycji: kompozycji zdjęć migawkowych, łagodnie a wdzięcznie przesuwanych w polu naszego widzenia, jakgdyby szły w tem za krążkiem odbitego światła, przenoszonego w łagodnej mgle naszego otoczenia; wedle natury takiej techniki — obrazy będą płaszczyznowe, płynące i świeże, niekiedy nieoczekiwane w swem połączeniu, ale płaszczyznowe. Jak np. ten:

„Uśmiechnęła się jakoś tajemniczo, niby trochę nieufnie i od czasu do czasu rzucała krótkie spojrzenia na kogoś, kto dla pań z przedziału był niewidoczny. Po chwili za szkłem drzwi pojawiła się ręka w popielatym rękawie z trzema guzikami i w niebieskim mankiecie koszuli. Ręka o długich, wąskich palcach dotknęła okrągłej sztabki przy drzwiach i odeszła. Obie panie spojrzały tylko na siebie znacząco...

Czyjaś ręka żywo odsunęła drzwi i cały przedział wypełnił się przyjemnym, nieznanym zapachem... Za nim lekko weszła do przedziału wiedenka z uśmiechem, który odsłonił dołeczek na jej lewym policzku. Aneczka podciągnęła śpiesznie nogi pod siedzenie i z zachwytem podniosła oczy na wytworną postać, która przesunęła się wzdłuż niej... Potem czemuś westchnęła i nagle zwróciła się do drzwi, jakby ją ktoś zawołał...“.

Aneczka — bohaterka powieści, kukiełka człowiecza, która z drobnej mieszczki prowincjonalnej — poprzez piołun pracy fizycznej, rozczarowań i miłości ma się „przerodzić“ w człowieka pełnego, we właścicielkę salonu mód w stolicy prowincji...

A ręka w popielatym rękawie? W ten sposób objawia się Aneczce po raz pierwszy jej przyszła miłość gorzkawa. Miłość, do której ona się zwraca raptownie, z westchnieniem, jakby ją ktoś zawołał...

To jest świeże. I łatwo się spożywa. Czy długo pozostaje w pamięci — to rozstrzygnie czas.

*

W „Moim świecie“ Kiernyckiego panuje żywioł języka, młody i krwisty stop współczesnego języka literackiego z elementem ludowym. W dwojakim sensie panuje: że porywa ze sobą wyobraźnię czytelnika, ale autorską — zdaje się — także. Gdy spożywamy w języku Kiernyckiego obrazy bujnego życia współczesnej wsi ukraińskiej, trudno się wyznać, (a może i nie trudno), co w tej bujności odpowiada rzeczywistemu położeniu tej wsi, a co jest wytworem żywiołu językowego autora.

Język kształtuje rzeczywistość, ale i zniekształca. I jedno i drugie spotykamy w „Moim świecie“. I jedno i drugie oddaje Kiernyćkyj na służbę swojej warstwy społecznej: chce być piewcą mocnych gazdów wiejskich, wielkich kmieci. To mu wolno — jeśli należy do nich genetycznie i pod wszelkim innym względem — to jest bardzo naturalne. Ale oto, co jest niedobre: niedobre jest śmiecić do źródła, z którego się ongiś piło wodę. „Swego czasu“ Kiernyćkyj należał do grupy pisarzy „Horna“, współpracował dość wydatnie w lewicowym ruchu literackim.

Obecnie daje obrazy ruchu lewicowego na wsi w zniekształceniu, którego odeń nie wymagają ani żywiołowy pęd jego języka, ani „żywioł“ jego nowych (a może najzupełniej starych) pozycyj ideologicznych... Niedobrze jest pluć do źródła.... Nie dlatego, że wypadłoby może znowu kiedyś pić z niego wodę, niema obawy (głos Kiernyckiego: „Nie, niema obawy!“). Otóż właśnie! Więc nie dlatego. Tylko, że to jest nieczyste.

*

Jurij Łypa: „Wierzę“.

Takie mam wrażenie: objekt równie ciekawy dla psychoanalityka, jak i dla estety.

Oblicze talentu, wykrzywione nienawiścią. I stąd: chore na wojnę, na heroizm; na władzę, na naród, na obowiązek; na mięso ludzkie, na czerń, na djabła, na szpicrutę... Trudno się w tem wyznać laikowi, obcemu w sprawach wiary. Ale czy bywają i takie modlitwy:

— „Wtenczas, gdy mojemi kośćmi
będą zbijały małe dzieci
owoce z drzewa,
a w czaszce mej w krzakach tarniny
chować się będą jeże wesołe,
bądź miłościw mi, Boże, i
szpicrutę giętką, mocną, niecierpliwą
zrób z mojej duszy...“

Oblicze Boga, wykrzywione łypowską nienawiścią („Bóg i Nieustępliwość! — Jesteśmy bożym wałem!“); oblicze ojczyzny, drgające sadystyczną radością masowego samobójstwa: Francji, która „szerokiem kołem ognia i rozpalonej stali“ bije w młodych rekrutów, uciekających z piekła boju; Anglji, która puszcza na dno załogę własnego okrętu, by uratować port od pożaru; Ukrainy, karzącej śmiercią tłum niewolników, którzy zapomnieli miłości ojczyźnianej w niewoli. Oto Łypa.

„Bóg rozmiota i spali
Za niespełnione słowo,
O ty, ostrzona stali,
Prowadź nas znowu!...“

Że czynią Boga wykonawcą swych wyroków klasowych, to jest naturalne; że ojczyźnie wyznaczają rolę mistrza od gilotyny, to jest proste. To wynika z ich afektacji nienawistnej, z ich histerji socjalnej, której ulegają na drogach klęski... że zaś otrzymują nagrody od mistrzów miłości i miłosierdzia, nie jest to ani naturalne, ani tak proste... Czyżby i do nich dotarły owe deformacje, oparte na **histeria socialis?** (Głos od mistrzów miłości: „A gdyby nawet, to i co?“). Słusznie. A gdyby nawet! Naturalnie!...

Stefan Tudor

DMOWSKI O SOBIE

Nie wiedzieliśmy dotychczas, że Roman Dmowski był **znakomitym powieściopisarzem.** Skromnie bowiem krył się ze swoją twórczością literacką. Jak się dowiadujemy z „Tęczy“ i „Albertinum“ („czasopismo poświęcone kulturze czytelnictwa“, wydawane przez księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu) wydana w 1931 r. powieść Kazimierza Wybranowskiego „Dziedzictwo“ jest naprawdę pióra Dmowskiego. Stwierdzono to zupełnie niedwuznacznie w „Tęczy“. Zygmunt Wasilewski, bliski i serdeczny przyjaciel twórcy endecji, ogłosił w „Albertinum“ (nr. 1) artykuł p. t. **„Powieść Romana Dmowskiego Dziedzictwo“**, w którym pisze m. inn.: „O wrażeniu, jakie powieść zrobiła, świadczy, że ma już kilka wydań“.

„Autorem dzieła był Roman Dmowski. Usunął się poza pseudonim Wybranowskiego, nie dlatego bynajmniej, że mu brakowało odwagi ponoszenia za utwór odpowiedzialności, lecz że nie chciał dorzucać do niego wagi swego nazwiska. Chciał, żeby książka sama sobie miejsce zrobiła w literaturze“. „...nie dowierzał sobie, czy niewprawną w tej sztuce ręką potrafi stworzyć rzecz odpowiadającą warunkom dobrej powieści“.

„Nie powodował się bynajmniej przesądem — to wiem napewno — jakoby pisanie powieści przynosiło ujmę powadze pisarza politycznego“.

„Powieść „Dziedzictwo“ uważał za jedną ze swych prac publicystycznych napisanych metodą powieściową, ale równorzędną co do wagi politycznej z innemi“.

„Wrażenie czytelników nie było mylne, gdy od początku przypisywali tej książce poważne znaczenie. Należy ona do tej serji pism Dmowskiego, gdzie on jest historjozofem, teoretykiem i obrońcą cywilizacji łacińskiej oraz wychowawcą“.

„Ideałem współczesnej powieści jest przedstawienie rzeczywistości — nic ponadto; **w powieści Dmowskiego niema tego cynizmu obojętności etycznej“.**

„Dmowski podciąga czytelnika wzwyż“...

„Powieścią swoją Dmowski dokonał czynu społecznego... **O wartości „Dziedzictwa“ wiele już pisano...** Przemawia ona teraz głosem zza grobu, głosem ludzi wiecznych. Będzie też miała żywot długi przed sobą — zawsze budująca, aktualna i porywająca“.

Przytoczyliśmy te obszerne cytaty, aby pokazać, jak niezwykle wysoko jest ceniona ta powieść przez pisarzy „narodowych“. Zarówno powieści jak i jej autorowi Wasilewski przyznaje nadzwyczajne walory moralne.

Ale oto Kazimierz Czapiński odkrył w „Robotniku“, że Roman Dmowski napisał recenzję własnej powieści. Rzecz niewiarogodna? Oczywiście, ale tu przecież mamy do czynienia z etyką „narodową“ i „katolicką“.

Idziemy do Ossolineum, żądamy „Gazety Warszawskiej“, niesławnej poprzedniczki „Warszawskiego Dziennika Narodowego“: Otóż w tejże „Gazecie Warszawskiej“, (nr. 329a) z dnia 29 października 1931, na str. 4, znajdujemy artykuł „Z powodu jednej powieści“, podpisany imieniem i nazwiskiem Romana Dmowskiego. W artykule tym mowa o powieści Kaz. Wybranowskiego „Dziedzictwo“. „Wybranowski“ to speudonim Dmowskiego, co do tego niema żadnej wątpliwości. Dmowski pisze więc recenzję z własnej powieści i to w naczelnym organie stronnictwa, którego jest twórcą, faktycznym i duchowym wodzem. Co więcej, Dmowski-recenzent chwali Dmowskiego-powieściopisarza.

Usprawiedliwia się najpierw, że tylko „parę razy“ pisał o powieściach, chociaż przeczytał ich dużo.

„Jest to powieść sensacyjna. Tylko powieści sensacyjne zwykle nie odznaczają się wielkim sensem, **w tej zaś znalazłem dużo sensu... Nabrałem z niej wielkiej sympatji do autora“** — pisze Dmowski-recenzent o Dmowskim-powieściopisarzu. — **„Zwrócę uwagę na jedną wielką literacką zaletę.** W tej powieści strasznie dużo się dzieje, wypadki następują jedne po drugich z prawdziwie nowoczesną szybkością; jednakże to wszystko nie tworzy chaosu, ale składa się **na jedną, zwartą, ściśle związaną całość. To wielka zaleta, zwłaszcza w Polsce, gdzie najwięksi pisarze chromają głównie na punkcie konstrukcji“.**

Dmowski chwali „widnokrąg, w którym się ona (powieść) obraca. **Widnokrąg to szeroki,** wykraczający w części daleko poza Polskę. Przedmiotem zaś jej są **największe, najważniejsze** zagadnienia życia narodu. **Nigdy się dotychczas nie spotkałem** z powieściopisarzem, i to sensacyjnym, **któryby miał takie ambicje.** Już sama **ambicja** tego rodzaju **jest cnotą“.**

„Czemże jest w porównaniu z jego widnokręgiem **widnokrąg jego kolegów po piórze,** który często nie wykracza poza granice jednego podwórka, jednego śmietnika, a często łóżka?“

„Znalazł się powojenny powieściopisarz, który o dziwo, **sporo umie, sporo rozumie,** który obrawszy sobie przedmiot wielki, potrudził się **dużo poznać i dużo zgłębić“.**

„Widać, że autor chce obudzić w czytelniku ambicje do posiadania skrzydeł. To wielki zamiar — życzę mu, żeby jak najszerszy i jak najgłębszy dał skutek“.

Dmowski nie jest bezkrytycznym chwalcą. Ma także wobec siebie pewne zastrzeżenia:

„Byłby ten skutek niezawodnie większy gdyby wyraz pisarza był bogatszy, gdyby w nim było więcej poety. Jeżeli w nim siedzi w pewnej mierze poeta, to nie epiczny i nie liryczny, ale dramatyczny“.

Warto byłoby przytoczyć całą recenzję. Daje ona właściwe pojęcie o sposobach myślenia i działania „wodza narodu polskiego“.

„R. Dmowski nie szczędzi uznania R. Dmowskiemu“ — zauważa Czapiński. — „Co endecka prasa napisałaby np. o autorze postępowym, gdyby zastosował taką metodę?“

Łatwo to sobie wyobrazić: „bolszewicka moralność“, „żydowska chucpa“, „masońska etyka“, „wschodnie miazmaty“, „haniebne sposoby“, „zuchwała bezczelność“, „jeszcze jedna obrzydliwość“, „cyniczny proceder“, „wpływy międzynarodówki“, „nie chcemy tej zakały“, „precz“ — i t. d.

Niestety, my nie możemy tak napisać: Dmowski nie był ani Żydem, ani bolszewikiem, ani socjalistą, ani demokratą, ani masonem, ani...

SPRAWY SPOŁECZNE

Sytuacja szkoły i nauczyciela. Związek Nauczycielstwa Polskiego, 1939, str. 119 i 1nl.

Po raz nie wiedzieć który trzeba przypomnieć powiedzenie Bismarcka o wygrywającym wojnę nauczycielu pruskim, by niedość jeszcze podkreślić rolę szkoły i wychowawcy w życiu państwa i w dobie wszechpotężnej propagandy. Memorjały Z. N. P. i przemówienia wygłoszone na posiedzeniach Państwowej Rady Oświecenia Publicznego, składające się na broszurę „Sytuacja szkoły i nauczyciela“, charakteryzuje obfitość materjału „z pierwszej ręki“ i brak hałaśliwości czy demagogicznej spekulacji. Fachowcy, pedantycznie z problemem oświatowym obeznani działacze Z. N. P. „wietrzą“ tu wszystkie zakamarki i zaułki szkolnictwa, mając stale na oku pozytywną wizję wielkiego planu oświatowego i awansującą w kulturze europejskiej Polskę, szczególnie wówczas, gdy wywody swoje muszą popierać cyframi i faktami nieledwie kompromitującemi nas jako państwo o ambicjach mocarstwowych. Współautorzy broszury objęli w swoich rozważaniach wszystkie stopnie i rodzaje szkół, sytuację dzieci, rodziców i nauczycieli, uwzględniając jednak społeczne cele szkolnictwa i wysuwając konkretne suppozycje, mające doprowadzić do zlikwidowania przewlekłego, strukturalnego kryzysu oświatowego, zapomnieli związać je z innemi strukturalnemi niedomogami naszego życia, rzucić plan oświatowy na tło planu przebudowy społeczno-gospodarczej, która jedynie może mu zapewnić żywot i realizację. Omawiana publikacja jest skromnym pomnikiem trwałości wysiłków podejmowanych przez Z. N. P. w walce o szkołę, nauczyciela, ideały wychowawcze i upowszechnienie kultury, powinna dotrzeć nie do nauczycieli, nie do profesorów, ale ludzi stojących na uboczu szkolnictwa, na biurka publicystów, w kieszenie działaczy społecznych.

Stanisław Thugutt. Listy do młodego przyjaciela. Wydanie drugie. Kraków, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, 1939; str. 45 i 3 nl.

W katechetycznem „posłaniu“ do dalekiego przyjaciela na wsi, młodego chłopa, wytycza autor drogi i zasady, które praktykowane, doprowadzą go do Polski Ludowej. Nauki Thugutta, „starszego brata chłopca wiejskiego“, proste i jasne: zdobywanie wiedzy, organizacja, wiara we własne siły, dobroć i sprawiedliwość, męstwo i ukochanie Polski — z pozoru czynić mogą wrażenie truizmów, mają tu jednak świeże, mocne oparcie w argumentacji wspierającej się na przeszłości i teraźniejszości ruchu chłopskiego, wierze, że po przegranych bitwach „jedną ostateczną wygramy napewno“.

„Listy“ dzięki swemu tchnieniu gorącej wiary w sprawę chłopską, mogą być pokrzepieniem i wskazówką w rozterkach dla niejednego młodego, patetyczny choć nie koturnowy styl szczególnie przydaje broszurce charakter skromnej ewangelji chłopskiej.

Roman Fajans. Sylwetki i rozmowy. Warszawa, Z. Kozierkiewicz, 1939; str. 176.

Książka ta mogła powstać bez podróży, bez wzniosłych chwil przeżytych w przedpokojach apartamentów „wielkich“ Europy: poprostu w czytelni albo w bibljotece przez przepisanie krążących stale oświadczeń i wywiadów czołowych osobistości państw europejskich — tak dalece znikoma jest tu rola autora, który w gabinetach wszystkich mężów stanu odmienia ciągle te same nabożne wzruszenia politycznej dewotki tylko o barwę flagi danego państwa. Anachronistyczne wobec zmienionej sytuacji politycznej koncepcje rozmówców (szczególnie Schuschnigga i Benesza) trącą cierpkim posmakiem ironji historycznej, a trwalszą, głębszą, nie tylko dziennikarską wartość posiadają jedynie dwie rozmowy: z Miguelem de Unamuno i Alcalą Zamorą. Wywiad z gen. Araki i „przemiany Wschodu“ zamazane, stosunek krytyczny do skwapliwie spisywanej tromtadracji dyktatorów żaden, oracjom brak tła, perspektywy i osadzenia zarówno w historji jak i współczesnych zagadnieniach kontynentu, stąd ich karykaturalną postać czyniąca wrażenie śmieszne, krewniacze śmieszności reportera płaszczącego się w każdej stolicy Europy, glinianej monstrualności publikacji, która „przefajnowała“ w modzie na „wielkiego człowieka“.

Leon Kruczkowski. W klimacie dyktatury. Kraków, „Czytelnik“, 1938; str. 109 i 3 nl.

Gdyby w Polsce istniał uniwersytet polityczny, Kruczkowski otrzymałby katedrę socjologji, gdybyśmy mieli instytut badania dyktatur, autor „Kordjana i chama“ byłby niewątpliwie jego kierownikiem. Szacunku dla dialektyki i tez polemicznych autora nabiera się dopiero przy czytaniu tej broszury, która zgrupowała rozrzucone po czasopismach artykuły i rozprawy. Dopiero tu, po upływie czasu i w konfrontacji historycznej do złudzenia potwierdzającej słuszność założeń i trafność wynikających z nich, przewidywanych konsekwencyj. Artykuły Kruczkowskiego mają tajemną moc nieprzedawnienia, moc opartą na rzetelnej wiedzy i głębokiej intuicji w ujmowaniu zjawisk życia społecznego. Pomonachijska historja potwierdziła słuszność Kruczkowskiego w sporze z Nowosadem, upatrującym w „Anschlussie“ „podmuch idei“, tragiczne dla faszyzmu tajemnice jego zewnętrznych sukcesów, motory „dynamiki“ państw totalnych wyjaśnia rozdział „W klimacie dyktatury“, jakgdyby specjalnie napisany na czas zaborów i „błyskawicznych“ akcyj Trzeciej Rzeszy. Ciętość pióra i cierpliwość argumentu sąsiadują w innych pracach z pasją demaskowania fałszu, zakłamania i bynajmniej nie idealistycznych pobudek idealizmu grup „narodowych“, z pasją odkrywania istotnych sprężyn demagogji młodzieżowej i ukazywania we właściwem świetle skakanki ideowej oraz nieporozumień dogmatycznych O. N. R.-u; szczególnie dulszczyźnie, nacjonalizmowi i nacjonalistom polskim poświęca Kruczkowski dużo uwagi, szukając prawdziwego nacjonalizmu w ludzie, wykazując, że socjalizm jest bardziej narodowy, niż herbowa „narodowość“ zwolenników Piaseckiego.

Książeczkę tę trzeba czytać w naszych dniach, w dniach Madrytu i zwycięstw Niemiec. Pomaga i w „cierpliwej skali historji, a nie samodurnej histerji politycznej“, wyjaśnia, dlaczego mimo, że tamci zwyciężają, my w ostatecznym rachunku jesteśmy zwycięscy.

Andrzej Drozd

Oblicze dnia

Andrzejewski we Lwowie. Lwów liczy zgórą 300 tysięcy mieszkańców, wiele tysięcy studentów i uczniów szkół średnich, setki profesorów i nauczycieli, około 60 członków Związku Zawodowego Literatów — Lwów to miasto katolickie i narodowe, twierdzi wciąż „Słowo Narodowe“ —: odczyt Jerzego Andrzejewskiego o związkach między osobowością artysty a jego dziełem, odczyt szeroko reklamowany, zapowiadany afiszami na ulicach, ogłoszeniami i wywiadami w miejscowej prasie, zgromadził nie więcej niż 40 osób i to przeważnie t. zw. Żydów, masonów i bolszewików. Autor powieści nagrodzonej niedawno przez P. A. L., mającej już drugie wydanie, młody pisarz katolicki o dużej kulturze, wybitnym talencie i pasji do zagadnień moralnych, pisarz, reprezentujący najlepszą część polskiego katolicyzmu — spotkał się we Lwowie z najzupełniejszą obojętnością, właśnie wśród katolików.

Czegóż dowodem jest ich nieobecność na odczycie tak wybitnego przedstawiciela? Gdzież podzieli się ci, którzy tak głośno wrzeszczą o Bogu, religji i narodzie? Gdzie podziały się setki wyznawców, manifestujących znanemi metodami swoje przekonania „religijne“ i „narodowe“? Gdzie owe pociągi akademickich wycieczkowiczów do Częstochowy?

Witold Nowosad, publicysta „Słowa Narodowego“ i „Prosto z Mostu“, Teodor Parnicki, autor powieści „Aecjusz — ostatni Rzymianin“ i skromna zakonnica — czyżby to byli jedyni przedstawiciele inteligencji katolickiej Lwowa?

100 milj. zł. na nowe więzienia. Katowicka „Polonja“ oblicza na podstawie mowy, wygłoszonej przez ministra Grabowskiego w sejmowej komisji budżetowej, że w krótkim czasie trzeba będzie wybudować około 50 budynków więziennych dla usunięcia obecnego przepełnienia, wyrażającego się cyfrą 25 tys. nie mających się gdzie pomieścić więźniów. Koszt ich budowy, skromnie kalkulując, wyniesie 100 milj. zł.

Litwa bez Kłajpedy. Kłajpeda była jedynym portem litewskim. Przez ten port przechodziło około 3/4 całego importu litewskiego. Okręg kłajpedzki był także ogniskiem przemysłu; produkcja jego wynosiła 1/3 wartości całej wytwórczości litewskiej. Litwa znacznie rozbudowała port kłajpedzki. W porównaniu z r. 1913 obrót towarów wzrósł trzykrotnie. Litwa straciła dnia 22 marca b. r. 2.500 km² obszaru i 153.000 ludności. Z tej liczby 39.000 przypada na Kłajpedę. Zaludnienie Litwy zmniejszyło się o 6%, terytorjum o 4.5%. Granica morska Litwy wynosiła 90 km, obecnie tylko 25 km. Przed zaborem Kłajpedy Litwa miała 56.000 km² powierzchni i 2.5 miljona ludności. Kraj kłajpedzki był w 3/5 lub 4/5 zgermanizowany.

Polska—Niemcy. W artykule „Ciężar bryły germańskiej przytłacza bilans handlowy Polski“, wielko-kapitalistyczna „Depesza“ (23. III.) przedstawia stosunki handlowe polsko-niemieckie w ostatnich miesiącach. Od roku zaznacza się ogromny wzrost obrotów polsko-niemieckich w naszym bilansie handlowym. W r. 1937 handel z Niemcami stanowił 14.5% ogólnych naszych obrotów w przywozie i wywozie, z Austrją 9.2%, z Czechosłowacją zaś 8.1%. Po „Anschlussie“ udział Niemiec doszedł do 25% naszych obrotów handlu zagranicznego, a Rzesza wysunęła się na pierwsze miejsce przed Anglją i Stanami Zjednoczonemi. Po zajęciu Sudetów obroty z Rzeszą zwiększyliśmy do 300 miljonów złotych (umowa z 2. III. b. r.), zgadzając się na niekorzystne powiększenie naszego eksportu czysto surowcowego (główną jego podstawą stanowi len w stanie surowym). Wzrósł więc jeszcze silniej nacisk Niemiec na nasz bilans handlowy. W dwa tygodnie później umowa ta stała się bezprzedmiotowa, gdyż Niemcy zagrabiły Czechosłowację. Akurat 12 marca została podpisana umowa handlowa Polski z Czechosłowacją przewidująca rozszerzenie wzajemnej wymiany do 100 miljonów zł. rocznie. Oznaczało to w porównaniu z r. 1938 wzrost obrotów polsko-czeskich o 16 miljonów. Umowa ta była — zdaniem „Depeszy“ — dla Polski korzystna, gdyż uwzględniała także wywóz naszych wyrobów przemysłowych. Obecnie Rzesza pochłonęła Czechosłowację. Zwiększy się znowu udział Rzeszy w naszym handlu zagranicznym wraz z dalszą groźbą wzrostu ujemnego salda i wzmocnionego nacisku ekspansji niemieckiej na rynek polski. Należy się liczyć, że nasze obroty z Niemcami powiększą się o sumy, w których brała udział Czechosłowacja — a więc do zawrotnej liczby 400 miljonów złotych. Czy wszyscy zdają sobie sprawę, jakie to niebezpieczeństwo? Jest to groźba całkowitej zależności od planów imperjalizmu teutońskiego.

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE SŁONIMSKIEGO, TUWIMA I WITTLINA

Do redaktora „Sygnałów“

Wobec nieopublikowania zapowiadanego przeze mnie obszerniejszego szkicu na temat zagadnień wojny i pokoju we współczesnej poezji polskiej, uważam za konieczne dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień wyjaśnić publicznie co następuje:

Szkic mój pod tytułem „Wojna, pokój i dusza poety“ (wypożyczonym na doraźny użytek — za zgodą prawego właściciela — od świetnego poety Józefa Wittlina) napisałem pod bezpośredniem wrażeniem niedawnej napaści szeregu dzienników i czasopism na poetów — Słonimskiego, Tuwima i wymienionego już właśnie Wittlina. Pragnę zaznaczyć, że napisałem go w przeddzień ostatnich wypadków na terenie międzynarodowym, w atmosferze już wówczas niezbyt sprzyjającej spokojnym rozważaniom takich kwestyj jak np. pacyfizm czy antymilitaryzm.

O ile jednak omawianie wskazanych kwestyj sine ira et studio, bez konieczności liczenia się ze względami konjunkturalnemi, wtedy jeszcze wydawało się możliwe i nie tylko z punktu widzenia szerszych — ogólnokulturalnych, ale i państwowych interesów, dopuszczalne, o tyle dzisiaj wobec wytworzonej — w wyniku gwałtownie rozwijających się wypadków — sytuacji międzynarodowej Polski moment dla publikowania rezultatów śmielszych w tej sprawie rozważań okazał się całkowicie nieodpowiedni.

Posiadając jasną świadomość osobliwości chwili dziejowej, w której nam przyszło żyć i działać, oraz doceniając wagę związanych z nią potrzeb i wymagań, zmuszony byłem nie podejmować w druku — mimo zaciągnięcia pewnych zobowiązań moralnych — tych kwestyj tak obecnie skomplikowanych, zwłaszcza, że zajęte przeze mnie stanowisko odpowiednio opacznie zinterpretowane przez „życzliwych“ mogłoby pozornie znaleźć się w sprzeczności ze względami zawsze przeze mnie respektowanemi.

Kierując się temi motywami, zaniechałem — przyznaję — nie bez wahania publikacji mego szkicu.

Niezależnie od tego i właśnie dlatego pragnę oświadczyć, że nie przestaję uważać napaści na Słonimskiego, Tuwima i Wittlina, nie liczącej się z atmosferą czasu, w jakiej powstały ich pacyfistyczne utwory sprzed lat około dwudziestu, za akt pospolitej demagogji szowinistów. Nie przestaję uważać tych napaści za demagogiczne, podobnie jak nie przestanę uważać tych pisarzy za doskonałych **polskich** poetów, jak nie przestanę uważać wszelkich prób dyskryminacyj narodowościowych w Polsce za akty godzące w najżywotniejsze interesy państwa i kultury polskiej.

St. R. Dobrowolski (Warszawa)

MAŁA ENCYKLOPEDJA LUDOWA

Do redaktora „Sygnałów“

Jest wiele przyczyn słabego czytelnictwa na wsi: brak zrozumienia tej potrzeby kulturalnej, znikoma ilość bibljotek, bieda. O tem piszą, usiłują zaradzić, starają się zmienić dotychczasowy stan.

Jest jednak jeszcze bardzo ważny powód, dlaczego tak mało czyta się na wsi. Otóż chłop nie rozumie bardzo wielu wyrażeń i dlatego nie może często zrozumieć treści czytanej książki czy artykułu. Jeszcze z powieścią, popularnym wierszem jakoś poradzi sobie, ale z artykułem politycznym, społecznym, ale z książką, więcej lub mniej naukową — to już trudniejsza sprawa.

I tu ważne posłannictwo może spełniać encyklopedja. Ale żadna z tych, już wydanych dotąd; są za drogie, zbyt obszerne. To musiałoby być specjalne wydawnictwo przystosowane do wiejskich warunków. Przedewszystkiem chodzi o niską cenę książki. Może być na gorszym papierze, bez większej ilości tablic, map, rysunków, które bardzo podrażają koszt wydania. Wszystkie nieznane, mniej ważne, mało spotykane wyrazy możnaby opuścić bez większej szkody dla wartości encyklopedji. Oprawa mocna — to bardzo ważne — na wsi książka prędko się niszczy.

Taka popularna encyklopedja wydatnie przyczyniłaby się do wzrostu czytelnictwa wiejskiego, byłaby stałym pomocnikiem samouków. Żeby czytać z większem powodzeniem, trzeba skończyć przynajmniej całą szkołę powszechną, lecz jakoś nie wszystkie dzieci chłopskie mogą to uczynić — i nie jest to ich winą. Niech się uczą same w domu. I robią tak, chociaż opornie idzie im ta praca. Często zniechęcają się, przychodzi powtórny analfabetyzm.

Trzeba im dać jakąś pomoc, jakąś zachętę. Właśnie: encyklopedja, „Mała Encyklopedja Ludowa“.

Pieniądze muszą się na to znaleźć. Organizacje wiejskie powinny zainteresować się tym wnioskiem, powinny domagać się jego urzeczywistnienia.

Wiktor Bastrzyk (kol. Mogilnica)

W SPRAWIE „AKORDÓW“

Do redaktora „Sygnałów“

Przed paru miesiącami ogłoszono odezwę do wszystkich literatów ludowych; widniały pod nią podpisy Edwarda Cygana i Wojciecha Lorenca-Czarnoty. Autorzy przedstawili w odezwie niedolę pisarzy ludowych w Polsce. „Z tego to powodu — pisali — postanowiliśmy wydać jednodniówkę, w którejby się znalazły utwory wszystkich pisarzy ludowych. Wydać ją chcemy wspólnemi siłami“. Stosując się do nadesłanych warunków, zgłosiłem swój udział w jednodniówce, posłałem wiersze i odpowiednią ilość pieniędzy. W styczniu b. r. ukazała się ta jednodniówka p. n. „Akordy“. Redaktorzy nie tylko nie umieścili wszystkich nadesłanych przeze mnie wierszy, co powinni byli uczynić zgodnie z warunkami, ale co gorsza, w jednym z wierszy drukowanych zmienili wyraz **faszyzm** na **nędza**. Zbyt raził ich ten „faszyzm“, więc go usunęli. Wiersze, które drukowałem już w czasopismach, usunęli, uznając je za „nielegalne“. Chyba tylko dlatego, że oskarżały faszyzm, mówiąc prawdę o jego zbrodniach.

Fakty te podaję dla przestrogi do publicznej wiadomości.

Stanisław Bularz-Felekczyński (Kaniów)

rys. Karol Baraniecki



Weksel

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK

Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6